

Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 1/2017 (143)

Foto: Sylwia Mietelska.



*W oczekiwaniu Tajemnicy Zmartwychwstania Pańskiego
życzymy, aby ten szczególny czas przyniósł odrodzenie nadziei
by wzbudził w nas chęć nieustannego poszukiwania
i dążenia do wyznaczonych celów.*

*Niech Zmartwychwstały Chrystus
błogosławi nam na te Święta
by upłynęły w zdrowiu i milej atmosferze
wypełnione życzliwością i miłością bliskich.
Błogosławionych Święt!*

REDAKCJA
magazynu społeczno-kulturalnego
„Ziemia Lubliniecka”

STAROSTA LUBLINIECKI
Joachim Smyła

*W drodze z Łagiewnik Wielkich do Lubecka przez Kanus
foto: Grażyna Pastuszka*

Dwory i pałace Ziemi Lublinieckiej

Gmina Koszęcin położona jest w południowo-wschodniej części powiatu lublinieckiego. Tutaj także zachowały się obiekty zabytkowe ważne dla historii i kultury Ziemi Lublinieckiej i Śląska. Szczególnie cenny jest pałac w Koszęcinie, będący w przeszłości siedzibą właścicieli Lublińca oraz pałac w Wierzbii.

KOSZĘCIN

Gminę o powierzchni ok. 129 km² zamieszkuje ok. 11 500 mieszkańców. Położona w dorzeczu Małej Panwi

i Liswarty, w północno-wschodniej części graniczy z Grzbieciem Woźnickim, będącym odgałęzieniem Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Ponad 50% powierzchni gminy zajmują lasy, stwarzając świetne warunki do rekreacji i turystyki. Siedziba gminy położona jest 12 km na wschód od Lublińca, na skrzyżowaniu przy drodze wojewódzkiej nr 906 i 907.

Legenda podaje, że założycielem osady był książę Gosław Koszeński. Pierwsze zapiski historyczne pochodzą z ok. 1275 r. W nich biskup krakowski nakazał płacić dziesięcinę na rzecz kościoła w Kamieniu Śląskim. Natomiast najstarsze miejscowości: Cieszowa, Sadów i Wierzbie odnajdziemy w źródłach z ok. 1300 roku.

Podobnie jak Ziemia Lubliniecka, Koszęcin był częścią Śląska i należał do 1532 r. do Piastów Opolskich. Po śmierci księcia Jana II Dobrego przeszedł we władanie króla Czech, a później cesarza monarchii Austrii, Ferdynanda I Habsburga i został oddany w zastaw na rzecz margrabiego Brandemburgii Jerzego II Hohenzollerna. W 1562 roku zastaw wykupił kanclerz cesarski Jerzy Lassota i sprzedał w 1568 roku Jakubowi von Sparweinowi. W 1576 roku właścicielami został ród Kochcickich wykupując zastaw w 1587 roku. To Jan II Kochcicki zbudował barokowy pałac w Koszęcinie, w którym zamieszkał jego syn hrabia Andrzej Kochcicki.

Rozbudował on pałac tworząc m. in. wspaniałą bibliotekę, gdzie Walenty Rozdzieński pisał prawdopodobnie swój poemat *Officina ferraria*. Zbudował także kaplicę zamkową.

W czasie wojny trzydziestoletniej (1618–1648 r.) cesarz zarekwirował majątek Kochcickich za poparcie antyhabsburskiej koalicji protestanckiej. W 1640 roku majątek zakupił na licytacji Ferdynand von Blacha, a w 1647 r. sprzedał baronowi Mikołajowi Filipowi von Rauthen. W tym czasie w pałacu gościł król Jan III zdążając z odsieczą pod Wiedeń. W 1693 roku
Bogusław Hrycyk • CD. NA STR. 3



Herb baronów Kochcickich



Herb hrabiów von Sobeck und Kornitz



Herb książąt zu Hohenlohe-Ingelfingen



Herb rodziny von Wirbski, czyli Lis odmieniony



Pałac w Koszęcinie



Pałac w Wierzbii

DWORY I PAŁACE ZIEMI LUBLINIECKIEJ CD.

majątek przejął hrabia Jerzy Mikołaj von Sobeck und Kornitz żeniąc się z córką barona, Anną Zuzanną. Pałac był w posiadaniu rodu do 1788 roku, a ostatni z rodu hrabia Karol Henryk II powiększył włości dokupując majątki Olszynie oraz Boronów (z wioskami Droniowice, Harbułtowice, Hadra, Chwostek). W latach 1788–1804 właścicielami zostają kolejno radca z Brzegu von Müttel, von Eckenberg i von Stössel. Od 1805 roku aż do 1945 roku majątek był we władaniu pochodzącego z Frankonii ksiązęcego roku zu Hohenlohe – Ingelfingen, właściciele dóbr Sławięcice. Majątek zakupił książę gen. Franciszek Ludwik, który przebudował pałac w latach 1829–30 w stylu klasycystycznym, otaczając go 12 ha parkiem. W pałacu zamieszkał jego syn książę Adolf, będący krótko w 1862 r. premierem Prus. Kolejno majątek przejmowali syn książę Karol, będący przez 20 lat starostą lublinieckim a następnie książę Fryderyk Wilhelm, który poczynił znaczne inwestycje, m. in. zbudował drogę do Tworoga gdzie znajdował się jego drugi pałac. Ostatnim z rodu był książę Karol Gotfryd, który przebywał w majątku do 1945 roku. Będąc bezdzietnym adoptował dwóch kuzynów z linii książąt raciborskich. Konrad poległ w II wojnie światowej służąc w formacji Wehrmachtu, a Aleksander poległ służąc w wojsku polskim. Książę Karol Gotfryd wyjechał w styczniu 1945 r. do Austrii, gdzie mieszkał do końca życia w miejscowości Kraubath k. Grazu.

WIERZBIE

Miejscowość leży w północno-zachodniej części gminy Koszęcin, ok. 5 km w kierunku Lublińca, przy drodze wojewódzkiej nr 906. Wierzbie zamieszkuje ok. 400 mieszkańców. Najstarsza wzmianka historyczna o miejscowości pochodzi z ok. 1300 roku.

Najstarszymi właścicielami osady była rodzina von Tschammer. Nazwa miejscowości związana jest z rodziną von Wirbski (Wierbski, Wrbski), której ród rycerski wywodził się z Moraw, a najstarszym przedstawicielem był Fulko – kasztelan krakowski z przełomu XII/XIII w. Na Śląsku w końcu XVI wieku ród był właścicielem ziem wokół Lublińca, m. in. Kochanowic, Rusinowic czy Kamienicy. Najwybitniejszym przedstawicielem rodu był sędzia ziemski w księstwie opolsko-raciborskim Jan Wirbski urzędujący w latach 1618–1626. Prawdopodobnie w XVII wieku był inicjatorem budowy barokowego pałacu, a pierwszym właścicielem pałacu był prawdopodobnie Balcer Wirbski lub jego potomek Henryk Wierbski. Kolejnym właścicielem był Ludwik von Gotschalkowsky, od 1705 roku baron czeski, właściciel także Kochanowic, Rusinowic, Sadowa i Wesołej. Po zajęciu Śląska przez Prusy pierwszy starosta lubliniecki. W końcu XVIII majątek posiadał baron von Ziemietzki. W XIX wieku właścicielami byli m. in. ok. 1835 r. Gottfried Gerlach, ok. 1881 r. Wilhelm Methner, ok. 1892 r. Heinrich Grittner, a od 1905 do 1921 roku Richard Kuba z Sadowa. Jego spadkobierca w latach 1926–1930 przebudował pałac. W latach 30-tych był rezydencją wczasową Prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego, który przekazał obiekt chorzowskim zakładom AZOTY, których był założycielem. W latach 1985–1987 w pałacu mieścił się oddział Szpitala Psychiatrycznego z Lublińca. Kolejno obiektem zarządzała Gmina Koszęcin, a następnie CARITAS. Budynek ulegał zniszczeniu do czasu, gdy obiekt zakupił prywatny inwestor, wyremontował i pięknie odrestaurował pałac, będący dzisiaj w prywatnym użytkowaniu.

Bogusław Hrycyk

Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Redaktor naczelny: Bogusław Hrycyk; sekretarz redakcji: Aneta Konieczny; pismo redagowane przez Kolegium Redakcyjne w składzie: Arkadiusz Baron, Zbigniew Chromik, Krzysztof Kanclerz, Marzena Koza, Andrzej Musioł, Wojciech Poznański, Edward Przebieracz, Sebastian Ziółek, Mariusz Żymierski

Adres redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7, tel. (34) 35–10–500, wew. 601, e-mail: gazeta@lublinieck.starostwo.gov.pl

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk; www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

Spis treści

DWORY I PAŁACE ZIEMI LUBLINIECKIEJ	2
JAK TO BYŁO NA OBOZIE HARCERSKIM	4
WSPÓLNE DZIEDZICTWO EUROPEJSKIE	4
LUBLINIECKI EPIZOD W ŻYCIU NIEMIECKIEGO PACYFISTY	5
TABLICE PAMIĄTKOWE ZIEMI LUBLINIECKIEJ (VII)	8
DZIEJE JEDNEGO ŻYWOTA	10
DUSZPASTERSTWO WIĘŹNIÓW W LUBLIŃCU W LATACH MIĘDZYWOJENNYCH	12
DAWNE HUTNICTWO ŻELAZA W POWIECIE LUBLINIECKIM	13
HISTORIA SZKOŁY W JAWORNICY W I POŁOWIE XX WIEKU	14
TRAGEDIA GORNOŚLONSKO NA ZIEMI LUBLINIECKI	16
NIE ZMARTWYCHWSTANĄ RAZ PRZEŻYTE CHWILE	18
WIOSNA W KOHCICKIM PARKU	19
GLINICKA REFLEKSJA	19
WIOSNA W LUBLIŃCU	20
ZIEMIA LUBLINIECKA I „ZIEMIA LUBLINIECKA”	20
JAK STARZIK MAJSTROWOŁ	20
POWIEDZENIE O LUBLIŃCU	21
10 LAT SPOTKAŃ KRĘGU PRZYJACIOŁ ZAPOMNIANEJ HISTORII	21
SROGO ZAŁA U POZAMONIKA	21
DWORY I PAŁACE ZIEMI LUBLINIECKIEJ	23
LUBLINIEC WCZORAJ I DZIŚ	24

Jak to było na obozie harcerskim

Pan Kazimierz Bromer, postanowił podzielić się z nami swoimi wspomnieniami z okresu powojennego, kiedy to należał do lublinieckich drużyn harcerskich. Brał udział w obozach organizowanych m.in. w Kochcicach, Turawie i Paczkowie Międzyzdrojach.

OBÓZ W TURAWIE:

Rozpoczął się on na początku wakacji, dokładnie 1 VII 1947 r. Uczestnikami byliśmy My – druhowie ze szkół podstawowych. Wyruszyliśmy o świcie pociągiem jadącym w kierunku Opola. Cały sprzęt załadowaliśmy ze sobą do wagonów osobowych, a maszt (wypożyczony od pobliskiego gospodarza) przymocowaliśmy do stopni na zewnątrz.

Wsiadka nastąpiła na stacji Dębska Kuźnia. Mieliśmy tylko pięć minut, aby rozładować swoje rzeczy i wziąć wszystko na barki, gdyż prawdziwa wędrówka na miejsce przeznaczenia miała się dopiero zacząć. Ruszyliśmy na północ przez leśną gęstwinę i dotarliśmy na polanę w pobliżu małego stawu, którą wskazał nam leśniczy.

Trzeba było rozbić obóz. W mig wystrzeliły w górę czuby namiotów, zbudowano przyce, a od gospodarzy z pobliskiego Szczedrzyku dostaliśmy słomę na sienniki. Po ukończonym „zakwaterowaniu”, następnym etapem było wybudowanie kuchni. Jednak budulec trzeba było zdobyć... Rozesłano zwiadowców po okolice, aby poszukali zdalnych cegieł czy kamieni. Na szczęście na przeciwnym brzegu stawu odkryli

stary, opuszczony dom. Aby ułatwić sobie transport do obozu, odnaleziono stare drzwi i na nich, jak na tratwie, przenieśliśmy potrzebną cegłę do budowy kuchni.

Na obozie nie było nudno, gdyż wymyślano urozmaicone zajęcia, np. podchody, pływanie czy zdobywanie odznak z różnych sprawności (m.in. Pioniera, Wędrownika, Łazika Wiejskiego czy Trzy Pióra). Jedzenie także było w porządku, a na poprawę humoru wpadliśmy na pomysł zrobienia marmolady z czarnych jagód. Każdy z uczestników nabierał po pełnej menażce leśnych witaminek i wrzucono wszystko do kotła. Rozpoczęło się wielkie smażenie... Wszyscy najedli się do syta, lecz po konsumpcji pojawił się pewien „poważny” problem. Niestety, nikt nie pomyślał o tym, że owoców nie należy smażyć w ocynkowanym garnku.

W tym samym czasie co nasz obóz, na północnym brzegu Jeziora Turawskiego znajdował się obóz z Poznania, a nad małym stawem ulokowały się harcerki z Krakowa. Oczywiście jak to zwykle bywa, wpadliśmy na „genialny” pomysł zdobycia sztandaru przeciwnego obozu krakowskiego. Natarcie nastąpiło pod osłoną nocy, gdy harcerki pogrążone były w słodkim śnie, i zakończyło się sukcesem. Niestety nasi poznańscy koledzy wykonywali to samo i nasz sztandar również został wtedy zdobyty. Na drugi dzień rozpoczęto pertraktacje i sztandary wróciły na swoje przynależne miejsca.

Obóz zakończył się 21 VII 1947 r., więc go zwinęliśmy, uporządkowaliśmy teren i wyruszyliśmy w drogę powrotną, pociągiem do domu.

Kazimierz Bromer

Z KART HISTORII

Wspólne dziedzictwo europejskie



Odwiedzając groby rodziny i znajomych, przechodząc przez teren dawnego cmentarza Szpitala Psychiatrycznego w Lublińcu, zatrzymałem się na chwilę w zadumie pod starym krzyżem. Jest tam tabliczka z nazwiskiem prof. Maksymiliana Uhle. Spoczywa tu jeden z najwybitniejszych archeologów niemieckich, zajmujących się archeologią andyjską. W tym roku minęła 160. rocznica jego urodzin. Sięgając do archiwum prasowego doktora Michała Janusza i artykułów umieszczonych w „Dzienniku Zachodnim” nr 149/1988 oraz „Ziemi Lublinieckiej” nr 3/2005r. prezentujemy poniżej artykuł autora.

Redakcja

Profesor archeologii Max Uhle urodził się 25.03.1856 roku w Dreźnie, w ewangelicko-luterańskiej rodzinie. Przez swoje badania w Peru, Chile i Ekwadorze stworzył niemiecką szkołę archeologii andyjskiej. Przez 40 lat prof. Uhle badał amerykańską kulturę w zachodniej części Ameryki Południowej. Organizował wystawy wykopalisk znanych świątyń Pachacamac, Mochi, Tiachuanaco. Udało mu się poprzez swoje badania po raz pierwszy ustalić chronologię starożytnych kultur amerykańskich. Szczególnie interesował się wysoko rozwiniętymi kulturami Inków, wybrzeża peruwiańskiego, których pochodzenia poszukiwał także poza granicami Peru, w Ameryce Środkowej. W 1933 r. powrócił do Niemiec jako wybitny znawca, profesor uniwersytetu i dyrektor muzeum w Limie, Santiago de Chile i Quito. Za zasługi dla nauki niemieckiej z okazji 80-tych urodzin profesor Uhle otrzymał Medal Goethego.

Przebywając w ośrodku sanatoryjnym na opolszczyźnie

został profesor przewieziony do Lublińca 8.04.1944 z powodu pogorszenia stanu zdrowia. Niestety, pomimo troskliwej opieki lekarskiej zmarł 11.05.1944 roku w Szpitalu Psychiatrycznym i dlatego został pochowany na przyległym cmentarzu.

Archiwalna dokumentacja Szpitala Psychiatrycznego w Lublińcu dysponuje nie tylko doskonale zachowaną historią choroby sławnego archeologa niemieckiego profesora Maxa Uhle z roku 1944, ale również oryginalnym w idealnym stanie paszportem wydanym w lipcu 1939 roku przez prezydenta policji w Berlinie z licznymi pieczęciami wizowymi krajów południowo-amerykańskich.

W roku 1966 ufundowano pamiątkową tabliczkę na miejscu ostatniego spoczynku profesora z polską apostrofą modalitowną.

Nazwisko niemieckiego archeologa figuruje w encyklopediach jako jednego z najwybitniejszych archeologów.

Michał Janusz

Lubliniecki epizod w życiu niemieckiego pacyfisty

RUDOLF KARL GUNST (1883–1963) BURMISTRZ LUBLIŃCA W LATACH 1914–1919



Dr Rudolf Karl Gunst (1883–1963);
Fotografia ze zbiorów Petera
Burgera; (Düsseldorf)

Proszę pozwolić, że swój tekst rozpocznę tym razem od podziękowań. Jego powstanie nie byłoby możliwe w tej formie, gdybym nie uzyskał wsparcia. Dziękuję więc serdecznie Gisbertowi Strottdreesowi z redakcji *Landwirtschaftliches Wochenblatt Westfalen-Lippe*, który na potrzeby niniejszej publikacji przesłał zgromadzone przez siebie materiały, w tym wspomniany w źródłach artykuł opublikowany na łamach jego czasopisma. Podziękowania należą się także Panu Peterowi Bürgerowi z Düsseldorfu, autorowi artykułu za możliwość skorzystania z tekstu oraz zgodę na publikację fotografii Rudolfa Gunsta.

W poprzednim numerze usiłowałem przedstawić postać Theodora Knappika, burmistrza Lublińca z lat 1883–1907. Teraz kolej na innego z szefów lublinieckiej magistratury... Gdy opisany już Knappik obejmował swój urząd w Lublińcu, na drugim krańcu ówczesnego Królestwa Prus, we wschodniej Westfalii, przyszedł na świat jeden z jego następców – Rudolf Gunst (1883–1963).

Przegląd teczki personalnej Gunsta z akt rejencji opolskiej ukazuje człowieka z klasy wyższej – dobrze wykształconego i obytego w świecie (Francja, Holandia, Namibia). Prawie typowa to biografia dla młodego mężczyzny tej warstwy społecznej, tamtego pokolenia, tamtych czasów, tamtych Niemiec: edukacja elementarna w domu i szkole prywatnej, studia na kilku uniwersytetach, a potem służba w organach państwowych i komunalnych. Jednego tylko w tym niemieckim życiorysie ery wilhelmińskiej brakuje – służby wojskowej. Naszego przyszłego burmistrza uznano jednak za trwale niezdolnego do służby wojskowej i nie dane mu było dostąpić tego zaszczytu w młodych latach. Wątpliwą okazję do nadrobienia owego braku, jak pewnie później sam to ocenił, stworzyła mu dopiero I wojna światowa.

Teczka personalna to specyficzny rodzaj akt kancelaryjnych – dotyczą tylko kwestii osobistych związanych z urzędowaniem (wykształcenie, podania, uposażenie, urlopy itp.). Inne szczegóły związane z pełnieniem urzędu nie są w nich zawarte lub występują niezwykle rzadko. Dodatkowo akta tego typu zamykane są w momencie opuszczenia stanowiska przez osobę, której dotyczą i, o ile nie wpłyną wnioski o wyciągi z nich w kolejnych latach, ślad po nich urywa się prawie zupełnie. A co dzieje się z człowiekiem dalej?

W przypadku osób związanych z tak małym środowiskiem jak nasze, lublinieckie. Sprawa odnalezienia dalszego tropu wygląda czasami dość beznadziejnie. Bez większego więc przekonania sięga się do Internetu, czy przypadkiem nie ma w nim czegokolwiek o burmistrzu prowincjonalnego miasteczka z Górnego Śląska sprzed stu lat. Wpisujemy: „Rudolf Gunst”, licząc przynajmniej na wyniki ze stron genealogicznych... A tu! „Coś” tam jest! Artykuł w samej Wikipedii! Lektura tego krótkiego biogramiku wskazuje, że mamy tu pewien przypadek godzien uwagi. Oto bowiem, w osobie byłego burmistrza Lublińca ukazuje się dzielny człowiek, który nie tylko wysnuł właściwe wnioski z I wojny światowej, ale i usiłował, pomimo okropnej sytuacji ideowo-politycznej w jego ojczyźnie w okresie po roku 1918, szerzyć idee pacyfizmu! W kraju zmilitaryzowanym do granic absurdu! Mamy tu niemieckiego rzecznika pojednania między narodami. Człowieka,

który czynem i słowem wystąpił przeciw narastającej fali rewanżyzmu, antysemityzmu i rasizmu! To jeden z takich życiorysów, które potomni uznają po wielu latach za „piękne”. Czy wyróżnieni w ten sposób bohaterowie zgodziliby się z taką oceną, to już nieco inna i o wiele bardziej skomplikowana sprawa. Czasami lepiej nie doświadczać tego, jak trudno stać się przeciw własnym rodakom i władzom, sąsiadom i znajomym, gdy ci popadają w obłąd.

W Niemczech międzywojennych i w III Rzeszy gorzki smak znajdowania się po właściwej, lecz przegranej stronie wewnętrznego sporu ideowego, poznało wielu. To m.in. tacy naiwni – powiedzieliby pewnie twardzi zwolennicy *Realpolitik* – marzyciele, jako pierwsi zapełnili tworzone od 1933 roku obozy koncentracyjne, lub żyli izolowani i napiętnowani znakiem narodowych zdrajców, przeniwierców – tych, co to własnej ojczyzny nie kochają. Znosili swój sprzeciw bezsilnie, w milczeniu, smutku, zgrozie i wstydzie, w nieustannej ucieczce i strachu. Wielu z nich odebrano życie. Takiego losu „zasmakował” były lubliniecki burmistrz.

Jak pisano wyżej, Rudolf Karl Gunst był Westfalczykiem. Urodził się 18 listopada 1883 roku (w aktach opolskich podano 16 listopada) w majątku ziemskim Hembesen (dziś część miasta Brakel we wschodniej Nadrenii Północnej Westfalii, powiat Höxter, rejencja Detmold). Ojcem jego był Franz Gunst, właściciel ziemski i radca ekonomiczny. Matka miała na imię Cecylia (z domu Lorenz). Z relacji dotyczących udziału Gunsta w I wojnie światowej wynika, że miał jeszcze co najmniej czterech braci. Jego rodzina od lat angażowała się politycznie. I ojciec, i dziadek byli deputowanymi do pruskiego sejmu. Obaj byli członkami katolickiej partii Centrum oraz licznych stowarzyszeń religijnych. Być może dzięki temu – poważnemu traktowaniu chrześcijańskiej religii, a nade wszystko jej uniwersalnego, ponadnarodowego przesłania, zdołał Gunst nie ulec nazistowskiej zarazie, która pochłonęła w końcu Niemcy międzywojenne. Ponadto jego strony ojczyście były bardzo silnym ośrodkiem nie tylko katolicyzmu jako takiego, ale i wyrosłego z tych religijnych źródeł, ruchu pokojowego.

Jako dziecko zamożnych i wpływowych rodziców miał otwartą drogę do studiów i kariery. Pierwsze nauki pobierał w domu (guwernantka), a potem w dominikańskiej szkole rektorackiej (typ szkoły dla chłopców) w holenderskim Venloo. Niewykluczone, że było to Kolegium Albertinum otwarte tu przez niemieckich dominikanów w okresie *Kulturkampfu*. Następnie uczęszczał do gimnazjum humanistycznego w Coesfeld (miasto kilka kilometrów na zachód od Münster). W kolejnych latach studiował prawo i ekonomię w Kilonii, Monachium, Paryżu i Münster. W czasie studiów zaangażowany był w prace katolickiego Zjednoczenia studentckiego. W 1908 roku zdał pierwszy państwowy egzamin. W roku 1910, a według własnoręcznie spisane go życiorysu w roku 1909,

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 6

LUBLINIECKI EPIZOD CD.

na uniwersytecie manstyrskim (münsterskim) został promowany na stopień doktora nauk prawnych i ekonomicznych.

Od tego momentu, jak informuje nas we wspomnianym życiorysie, rozpoczął pracę w organach komunalnych i powojennych. Pierwszy rok kariery urzędniczej spędził w zarządzie miejskim miasta Iserlohn. Później pół roku pracował w zastępstwie chorego radcy miejskiego w Eisleben w Saksonii Anhalt (tam gdzie urodził się Marcin Luter). Prowadził tu sprawy policji, podatków i ubezpieczeń. Stąd powołano go do zarządu miasta Ebersfeld (Nadrenia) w charakterze pomocnika magistratu do spraw prawnych. Tę pracę porzucił, bo jak sam pisze: „(...) mnie, urodzonemu i wychowanemu na wsi, nie odpowiadało życie w większych miastach”. Dlatego zwrócił się z prośbą do nadprezydenta prowincji westfalskiej, aby go przenieść na listę urzędników przeznaczonych do obejmowania stanowisk w zarządach okręgów (powiatów) złożonych z kilku gmin wiejskich o liczbie mieszkańców od 5 do 50 tysięcy. Nadprezydent przychylił się do tej sugestii i przekazał mu w zarząd stanowisko starosty powiatu Hamm oraz jednocześnie kierownictwo decernatu (wydziału, referatu) spraw komunalnych Królewskiego Zarządu Rejencji w Arnsberg. To tutaj dotarła do niego informacja, że odległe o blisko 750 kilometrów miasto Lubliniec na Górnym Śląsku poszukuje kandydata na stanowisko burmistrza. Rozpisanie konkursu na burmistrza w Lublińcu spowodowała rezygnacja Paula Jonschera, dotychczasowego szefa tutejszego magistratu. Wolał on objąć adekwatny urząd w Ząbkowicach Śląskich (od 11 stycznia 1914 r.). Gunst zdecydował się skierować odpowiedni wniosek do władz komunalnych naszego miasta. Tak oto w piśmie z dnia 20 grudnia 1913 r. napisał, że posiada rozległą i gruntowną wiedzę z zakresu spraw komunalnych, która pozwala mu podejmować starania o objęcie samodzielnego stanowiska „dokładnie w mieście typu Lubliniec”. Ciekawym jest, że człowiek, który miał otwartą drogę do wszelkich urzędów w rodzinnych okolicach, dokonał tak osobliwego wyboru dla swojej dalszej kariery. Był przecież znakomicie wykształcony. Pamiętano z pewnością w okolicy jego ojca i dziadka. Był także zamożny. W dołączonej do wniosku ankiecie personalnej podał w 1914 roku, że posiada 20.000 marek kapitału oraz współwłasność dóbr ziemskich odziedziczonych po zmarłej matce. Ale podjął decyzję o wyjeździe. Z tejsze ankiety dowiadujemy się także, że wówczas rodzice jego już nie żyli, a on sam jeszcze nie był w związku małżeńskim.

Kandydaturę jego wsparli nadprezydent prowincji westfalskiej oraz prezydent rejencji Arnsberg. W piśmie polecającym prezydent rejencji opisał karierę Gunsta w różnych gremiach lokalnych i krótko scharakteryzował jego postać:

„Dr Gunst pracował tutaj pilnie i z sukcesami. Jego wiedza teoretyczna jest całkiem dobra. Jest obyty towarzysko i posiada dar szybkiej orientacji. Na podstawie wyników służby przygotowawczej, rozporządzeniem nadprezydenta z 4 lutego tego roku, wpisany został na listę oczekujących na właściwe stanowisko. Na podstawie jego wiedzy, stopnia wykształcenia oraz całej osobowości sądzę, że jest on odpowiednią osobą, do objęcia tamtejszego stanowiska burmistrza.”

Natomiast nadprezydent prowincji westfalskiej skierował do Lublińca taką oto charakterystykę kandydata:

„Dr Gunst nie jest mi osobiście znany (...). Na podstawie dostarczonych mi świadectw, wolno mi przyjąć, że nadaje się on do objęcia stanowiska burmistrza w Lublińcu. Jego pilność i gorliwość oraz towarzyskie obycie są szczególnie godne podkreślenia.”

Warto tu dodać, że funkcję nadprezydenta Westfalii pełnił

wówczas były starosta lublinieckiego powiatu, Karol Egon zu Hohenlohe-Schillingsfürst, książę raciborski (sprawował urząd starosty lublinieckiego w latach 1887–1896).

Wyboru Gunsta na stanowisko burmistrza Lublińca dokonała rada miejska w dniu 23 marca 1914 roku. Początkowo zgłosiło się dziewięciu kandydatów. Komisja miejska wybrała spośród nich trzech, jej zdaniem najodpowiedniejszych. W elekcji brało udział 16 z 18 radnych lublinieckich. Gunst otrzymał 14 głosów. Dwóch radnych było przeciw. Wybór zatwierdził ówczesny prezydent rejencji opolskiej Friedrich Ernst von Schwerin w dniu 11 kwietnia 1914 roku.

15 kwietnia 1914 roku odbyła się uroczystość objęcia urzędu przez Gunsta. W archiwum zachowały się protokoły poszczególnych części tego wydarzenia. Przewodniczyli: starosta lubliniecki, który z ramienia króla wprowadzał Gunsta na urząd oraz pełniący tymczasowo obowiązki burmistrza Alfred Kreemer. Po złożeniu przysięgi oraz podpisaniu reencyjnego aktu potwierdzającego wybór na stanowisko Gunst odebrał protokolarnie całą miejską registraturę (wszystkie przechowywane w magistracie dokumenty), bibliotekę urzędową, klucze do biur i kasy urzędowej. Rozpoczęła się, planowana na 12 lat, kadencja nowego burmistrza.

Rządy Gunsta w Lublińcu przypadły na straszne czasy I wojny światowej. Nie mogło więc być mowy o jakichkolwiek inwestycjach miejskich niezwiązanych z wojskiem. Urząd miejski, jak wszystkie inne w całym kraju, został zalany setkami zarządzeń, zaleceń i wskazówek postępowania związanych z prowadzeniem wojny. Początkowo Gunstowi i jego odpowiednikom na Śląsku przypisać musiały sprawy ewakuacji ludności (szczególnie młodzieży męskiej w wieku przedpooborowym) z terenów zagrożonych rosyjską inwazją. Kolejną kwestią było zorganizowanie na stacji kolejowej punktów przyjęć żołnierzy wyruszających na front lub powracających z niego. Powierzono mu także powiernictwo nad majątkiem obywateli państw wrogich (tutaj szczególnie nad lubliniecką przędzalnią francuskiej firmy). Lokalni urzędnicy czuwali nad wykonywaniem zarządzeń nadzwyczajnych – postępującą reglamentacją wszelkiego typu towarów i surowców, zbiorcami surowców wtórnych, zastępowaniem dotychczasowych materiałów i przedmiotów tzw. ersatzami, czyli zastępnikami. A sytuacja zaopatrzeniowa pogarszała się z każdym kolejnym miesiącem wojny. Pomimo wyraźnych oznak mobilizacji społecznej nastroje nie były dobre. Dochodziły wiadomości o niebываłych stratach na froncie. Wracali straszliwie okaleczeni młodzi ludzie, lub przyjeżdżali ranni pociągami sanitarnymi. Aby nie pogarszać nastrojów rychło zaprzestano publikowania list strat w tygodniku powiatowym. Do wojska powoływano kolejne, coraz starsze roczniki *Landwehry* (przeszkolonej rezerwy z obrony terytorialnej) i *Landsturmu* (odpowiednik pospolitego ruszenia), a w końcu, coraz młodszych rekrutów spośród młodzieży. Niektórzy z tych ostatnich byli tak mali i młodzi, że nie umieli samodzielnie nosić ekwipunku! Wojna zajażdżała do każdego domu. Takiego kataklizmu nie znano w Europie od początku czasów. Burmistrz, inni przedstawiciele władz oraz wszelkiej maści mundurowi byli twarzami narastającej grozy i nędzy wojennej. Gunst osobiście bardzo przeżywał wypadki wojenne – jego czterej bracia byli na froncie. Często w ich imieniu załatwiał szereg spraw rodzinnych w Westfalii. Znajduje to odzwierciedlenie w aktach archiwalnych w postaci podań o urlopy motywowane wyjazdami na zachód w sprawach rodzinnych.

Jak radził sobie w roli burmistrza? W archiwum znajduje się dokument, który jest odpowiedzią prezydenta rejencji opolskiej na zapytanie dyrektora powiatowego z miasta

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 7

LUBLINIECKI EPIZOD CD.

Deutschoth (dzisiaj Audun-le-Tiche we francuskiej Lotaryngii). Miało to związek z wnioskiem Gunsta o objęcie stanowiska burmistrza w tym mieście w roku 1917. Pytano szefa rejencji opolskiej, czy Gunst to osoba nadająca się do objęcia takiego stanowiska w rejonie granicznym „ze skomplikowanymi stosunkami politycznymi”. Z Opola nadeszła odpowiedź taka:

„Ostateczna opinia o jego (Gunsta – A.B.) osiągnięciach z powodu względnej krótkotrwałości jego dotychczasowej pracy tutaj nie jest możliwa. Prowadzenie spraw urzędowych na stanowisku burmistrza nie daje podstaw do narzekań. Jednak jako przymusowy zarządca lublinieckiego oddziału francuskiej przędzalni wełny chesankowej *Les Fils de Motte, Meillassoux et Cie* z Roubaix nie zachował właściwego taktu oraz wymaganej najsurowszej rezerwy tak, że nie można z całą pewnością i bezwarunkowo potwierdzić jego przydatności do obejmowania stanowisk w rejonach nagrańskich z trudnymi warunkami politycznymi (...)”

W tej chwili, z powodu braku materiału porównawczego, nie sposób odnieść się do tej niezupełnie dobrej opinii o postępowaniu Gunsta. Pozytywnie jednak wypada tutaj ocena wykonywania przez niego codziennych, rutynowych zadań.

W środku wojennego zamętu, w maju 1916 roku, burmistrz Rudolf Gunst zgłosił się nieoczekiwanie jako ochotnik do wojska. Nic o motywach tej decyzji nie wiadomo. W dniu 10 czerwca 1916 roku zdał on swojemu obowiązkowi w ręce Alfreda Kremera i udał się do wojskowego obozu szkoleniowego. Analiza adresów z poczty polowej Gunsta pozwala podejrzewać, że szkolił się w oddziale zapasowym 2. Westfalskiego Pułku Artylerii Polowej nr 22 (2. *Westfälisches Feldartillerie Regiment Nr 22*). W następnych miesiącach spotkał się z okropieństwami wojny materiałowej. Wydaje się, że Gunst służył w 14. Rezerwowym Pułku Artylerii Polowej nr 7 w ramach 7. Rezerwowego Korpusu Armijnego (2. Armia). Jeśli tak było, to miał nieszczęście uczestniczyć w walkach pod Verdun (Las Thiamont, Wzgórze 344, jesienna obrona fortów Douaumont i Vaux). Szybko musiał zostać ranny. Już we wrześniu (24 września) napisał do Lublińca ze szpitala rezerwowego nr 35 (była to część kolumny sanitarnej 7. Korpusu Rezerwowego). Sytuacja taka powtarzała się – Gunst był wielokrotnie ranny. Ostatni raz zdarzyło mu się to w pierwszej połowie 1918 roku. Z pewnością jeszcze nie w styczniu. 15 stycznia 1918 roku bowiem, jeszcze z frontu, informuje Gunst radnych lublinieckich, że dzień wcześniej został promowany na stopień porucznika rezerwy w 14. Rezerwowym Pułku Artylerii Polowej. Jego korpus przebywał wówczas na froncie na północ od rzeki Ailette (obszar pomiędzy Laon a Soissons w departamencie Aisne). Wspomniane zatrucie gazem bojowym nastąpiło więc później. Było ciężkie. Gunst został z wojska reklamowany. Dla samego zainteresowanego stało się to źródłem cyklicznych problemów zdrowotnych, których nie pozbył się aż do końca życia. Z początkiem czerwca 1918 r. przewieziono go do szpitala wojskowego w Szczecinie. W liście do landrata lublinieckiego poinformował, że wyjdzie ze szpitala w ciągu kilku dni, po czym odejdzie z wojska definitywnie i ponownie obejmie obowiązki burmistrza w Lublińcu. Szybko to jednak nie nastąpiło, ponieważ w drodze na Śląsk, Gunst wskutek wysokiej gorączki zasłabł we Wrocławiu i musiał zostać przewieziony do miejscowego szpitala św. Józefa. Po blisko dwutygodniowej rekonwalescencji ponownie objął urząd (27 lipca 1918 roku).

Definitywnie Rudolf Gunst zakończył swoje urzędowanie w Lublińcu wiosną 1919 roku. Ostatni dokument w omawianym zespole akt, to prośba o urlop z 24 kwietnia 1919 r. Urlop

miał trwać od 3 do 31 maja, ale Gunst do Lublińca na swoje stanowisko już nie powrócił. Jan Fikus pisze, że Gunst uciekł z Lublińca. Pan Jan był pewnie w posiadaniu dokumentu potwierdzającego taki bieg wypadków. Nie jest to wykluczone, ale ja nie mam dostępu do takiego źródła. Z treści podania o urlop wnosić wolno, że Gunst nie planował przerywać swojej misji w Lublińcu. Wręcz przeciwnie – podał miejsce swojego pobytu na zachodzie (Werne/Lippe) i deklarował gotowość do natychmiastowego powrotu w razie wystąpienia spraw niecierpiących jego nieobecności. Tak się już jednak nie stało. W 1919 roku Gunst został urzędnikiem miejskim w miejscowości Hüsten (obecnie część miasta Arnsberg w Nadrenii Północnej Westfalii). Od roku 1927 był burmistrzem tego miasteczka. Pełnił urząd do 30 czerwca 1933 r. Wówczas naziści usunęli go z pełnionych funkcji.

Wskutek wojennych przeżyć Gunst zaangażował się w działania katolickiego ruchu pokojowego – Związku Niemieckich Katolików na rzecz Pokoju (niem. *Friedensbund der Deutschen Katholiken* – FDK). Organizacja ta sięgała swoimi początkami roku 1917, ale mogła zostać oficjalnie założona dopiero dwa lata później (1919). Znalazła silne poparcie w rodzinnych stronach Gunsta, w Westfalii. Motto tego ruchu, zawarto w dokumencie, który wmurowano w ścianę Kapliczki Pokoju zbudowanej na górze Borberg w Sauerlandzie w roku 1923:

„Niechaj ta kaplica, poświęcona »Królowej Pokoju«, będzie domem pokoju w ciszy leśnej stojącym oraz znakiem sprzeciwu wobec nienawiści między narodami. (niem. *Die Kapelle, die der „Königin des Friedens“ geweiht werde, soll sein ein Haus des Friedens mitten im Frieden des Waldes, ein Zeichen des Widerspruchs gegen Völkerhass.*)”

Pacyfistyczne wypowiedzi Gunsta znane są już z roku 1917. Bliskość silnego ośrodka FDK, związki osobiste z jego działaczami oraz wcześniejszy udział w stowarzyszeniach katolickich pchnęły Gunsta w kierunku opisywanej organizacji. Ze zgrozą obserwował Gunst co działo się z ludźmi. Szybko popadł w konflikt z miejscowym wikarym Lorenzem Pieperem. Duchowny ten głośno (i z ambony!) wyrażał antyrepublikańskie (antydemokratyczne), nacjonalistyczne i antysemityczne kazania. Rudolf Gunst publicznie potępił te wystąpienia. W swej działalności pokojowej były lubliniecki burmistrz głosił konieczność pojednania między narodami, szczególnie porozumienia niemiecko-francuskiego. Brał udział w kongresach pokojowych (np. Amsterdam 1931), przemawiał i pisał. Ale jednocześnie on i jego zwolennicy zmagali się z wrogiem wielokrotnie silniejszym – z nazistami. Ci uznawali pacyfistów za zdrajców narodowych i gdy nadszedł 30 stycznia 1933 roku, ogłosili „triumfalnie” w prasie miejscowej: „(...) że w nowych Niemczech nie ma miejsca dla ludzi pokroju dr Gunsta – będą tępieni, gdziekolwiek się pojawią”.

Dla Gunsta i jego żony rozpoczął się dwunastoletni okres ucieczki, ukrywania się i znoszenia upokorzeń. Wiosną 1933 roku on został aresztowany przez gestapo. W czerwcu usunięto go ze stanowiska, motywując to niezdolnością do pracy i nawet żądając wypłacenia odszkodowania państwu za niezdolność do pełnienia funkcji. Atakowano go na ulicy, szykanowano. Wskutek tego oboje z żoną bali się wychodzić z domu. Czasowo ukrywali się w lesie. Następnie przez lata „wędrawali” po Niemczech – od znajomych do znajomych (podobnie jak i swego czasu Konrad Adenauer). W 1935 roku odnajdujemy Gunstów w Berlinie-Charlottenburgu. Wikipedia podaje informację o ich czasowym pobycie w Ameryce. W czasie wojny przebywali w podmonachijskim Gräfelingu. Tam pozostali do końca wojny nie niepokojeni już przez nazistów. Żoną Rudolfa Gunsta była pochodząca z Hesji Maria (z domu Wulf). Małżeństwo doczekało się syna, który poległ

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 8

później w walkach ulicznych w Berlinie, w kwietniu 1945 roku.

Czas zwycięstwa humanitaryzmu nad barbarzyństwem jednak nadszedł. I gdy wszystko zło legło w gruzach i popiele, gdy zbrodniczy „sen” o Wielkiej Rzeszy uleciał, pozostawiając miliony zabitych i pomordowanych, zgrozę, hańbę i wstyd, i gdy trzeba było kogoś, kto zdołał zachować godność i czystość ducha, od kogo mogłaby zacząć się odnowa zhańbionych własną zbrodnią, to kto pozostał? Ano owi *Landesverräter* – zdrajcy ojczyzny, szczuci od lat, piętnowani, wyśmiewani i opluwani. Ci, których zmuszono do siedzenia cicho w czeluści wewnętrznego wygnania, w aresztach domowych, na emigracji, w obozach koncentracyjnych. Jednym z nich był Rudolf Gunst, były burmistrz miasta Lublińca na Górnym Śląsku. Nie należał do pierwszego szeregu tych, którzy mieli rację. Nie odegrał też po wojnie tej roli co Adenauer, Brandt, czy Kurt Schumacher, ale działał wedle tej miary, którą nałożył sobie już u zarania swojej kariery – działań na niwie lokalnej (i to jeszcze tej niższej!). Najpierw został burmistrzem Gräfelting, a potem starostą powiatu ziemskiego Monachium. Odszedł ze służby publicznej już w 1948 roku. Motywem były stare rany z czasów Wielkiej Wojny. Przez lata był członkiem sejmiku powiatowego w Monachium. Należał do grona założycieli bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU). Brał udział w reaktywacji Związku Niemieckich Katolików na rzecz Pokoju.

Dane mu było zebrać jeszcze owoce swojej humanistycznej i chrześcijańskiej postawy z lat międzywojennych. Nowa republika odznaczyła go Federalnym Krzyżem Zasługi ze Wstęgą (1953). Gmina Gräfelting nadała mu Złoty Medal Obywatelski (1963). Na starym budynku magistratu w Hüsten w Westfalii, gdzie w latach 1919–1933 sprawował urząd burmistrza,

wmurowano tablicę pamiątkową ku jego czci. W mieście tym trwa także debata, czy aby jedną z ulic nie nazwać jego imieniem. Rudolf Gunst zmarł w dniu 2 października 1963 roku. Pokażne pieniądze, które zostawił w spadku, przekazał gminie Gräfelting na utworzenie i utrzymanie ośrodka dla seniorów. Tak powstał istniejący do dzisiaj *Alten und Pflegeheim Rudolf und Maria Gunst-Haus*. I to są materialne, trwałe ślady jego działalności. Ale dziedzictwo tych Niemców, którzy nie ulegli Hitlerowi, stało się założycielskim mitem nowej republiki. I to jest spuścizna duchowa jego życia. Ta ważniejsza. I nie jest tylko niemiecka.

Arkadiusz Baron

Na potrzeby artykułu wykorzystano:

- *Acta Personalalia des Bürgermeisters Dr Rudolf Gunst in Lublinitz seit 15 IV 1914 (1913–1919)*, Archiwum Państwowe w Opolu, Zespół: Rejencja Opolska, nr 1191, Wydział I Ogólny, sygn. 7806.
- Bürger P., *Mutige Menschen, fast vergessen*, *Landwirtschaftliches Wochenblatt Westfalen-Lippe*, 43/2014, S. 62, 63.
- Fikus J., *Lublinc. Z dziejów miasta na Górnym Śląsku*, Lublinc 2003.
- Machahn, Robert Gunst, 18. August 2016, <https://de.wikipedia.org/wiki/Rudolf_Gunst>, [dostęp: 22 lutego 2017 r.].
- Reserve-Feldartillerie-Regiment 14, Namen der Gefallenen, 31.01.2017; http://www.denkmalprojekt.org/2014/reserve-feldartillerie-regiment14_wk1.html, [dostęp: 22 lutego 2017 r.].
- 14. Reserve-Division, 9. Mai 2015; [http://genwiki.genealogy.net/14._Reserve-Division_\(WK1\)](http://genwiki.genealogy.net/14._Reserve-Division_(WK1)), [dostęp: 22 lutego 2017 r.].

Tablice pamiątkowe Ziemi Lublinieckiej (VII)

Postać Pawła Golaś upamiętnia tablica umieszczona na jednej z kamienic znajdujących się przy lublinieckim rynku. Ten główny organizator powstań śląskich w powiecie lublinieckim urodził się w 1885 roku w Lubczy. W młodości związał się z polskimi organizacjami powstającymi w państwie niemieckim na przełomie XIX i XX wieku. Był działaczem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” oraz wstąpił do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego – związku



zawodowego reprezentującego interesy polskich pracowników w Niemczech. Nie udało mu się uniknąć poboru do armii niemieckiej, w której podczas I wojny światowej dosłużył się stopnia sierżanta sztabowego i brał udział w walkach pod Verdun, gdzie został ranny. Po powrocie z frontu jako doświadczony żołnierz zaangażował się w tworzenie Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. W 1919 r. został najpierw zastępcą komendanta POW powiatu lublinieckiego, a w parę miesięcy później komendantem głównym. Od tej pory kierował wszystkimi działaniami związanymi z powstaniami śląskimi w powiecie lublinieckim. Niedługo po przejęciu kierownictwa nad polskimi strukturami wojskowymi w powiecie, Paweł Golaś został aresztowany przez władze niemieckie i skazany za działalność konspiracyjną określoną mianem zdrady stanu. Udało mu się jednak uciec z transportu wiozącego go do więzienia w Opolu. Po tym wydarzeniu przedostał się



Paweł Golaś w mundurze Związku Powstańców Śląskich

Sebastian Ziółek • CD. NA STR. 9

TABLICE PAMIĄTKOWE CD.

do Polski i spod Częstochowy nadzorował przygotowania do I powstania śląskiego. Tuż przed jego wybuchem kierowana przez Golasia konspiracja liczyła 600 członków wyposażonych w około 200 sztuk broni palnej różnego rodzaju. Powstanie nie wybuchło jednak w powiecie lublińskim, silnie obsadzonym przez siły niemieckie. Starcia zbrojne na terenie powiatu miały miejsce dopiero w II powstaniu śląskim w 1920 roku. W wyniku walk polskie oddziały opanowały miejscowości znajdujące się do linii Kokotek-Rusinowice-Wierzbie-Kochanowice-Herby. Po jego zakończeniu Paweł Golaś wobec konieczności rozwiązania POW, powołał na jej miejsce Centralę Wychowania Fizycznego w powiecie lublińskim. Pod pozorem propagowania sportu dalej kontynuowano w niej przygotowania wojskowe. Tak sytuacja miała miejsce na całym Górnym Śląsku. W III powstaniu śląskim powstańcy stoczyli bitwę o Dobrodzień, zajęty 6 maja 1921 roku. Dwa dni później wkroczyli do Lublińca. Na czele tymczasowej polskiej administracji w mieście stanął Paweł Golaś. Po przyłączeniu Lublińca do Polski został prezesem Zarządu Powiatowego Związku Powstańców Śląskich. Za swoją działalność otrzymał honorowy stopień podpułkownika oraz szereg odznaczeń państwowych. Najważniejszym z nich był Krzyż Srebrny (V klasy) Orderu „Virtuti Militari”. W ten sposób znalazł się w elitarnym gronie zaledwie 95 powstańców śląskich, którym wręczono różne klasy tego orderu. Odznaczył go marszałek Józef Piłsudski podczas wizyty w Lublińcu w 1922 roku. Ponadto Pawła Golasia uhonorowano Krzyżem Walecznych, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi klasy I, Krzyżem Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Honorową Odznaką Plebiscytową.

W okresie międzywojennym Paweł Golaś utrzymywał się z prowadzonej w Lublińcu restauracji, a następnie hurtowni wyrobów tytoniowych, gdzie zatrudniał byłych powstańców. W 1929 roku współorganizował obchody 10-lecia wybuchu I powstania śląskiego, obejmujące uroczystą mszę połową na lublińskim rynku, złożenie wiązanek na grobach poległych, defiladę powstańców oraz wręczenie odznaczeń państwowych. Był również zaangażowany w działalność samorządową: uczestniczył w pracach Rady Miejskiej oraz Wydziału Starostwa Powiatowego. Zainicjował także zbiórkę pieniężną na rzecz budowy w Lublińcu pomnika upamiętniającego postać Józefa Piłsudskiego. Przeprowadzoną ją wśród mieszkańców powiatu



Pomnik upamiętniający wizytę w Lublińcu Józefa Piłsudskiego zbudowany z inicjatywy Pawła Golasia

oraz innych części Polski. Efektem zbiórki było odsłonięcie w 1938 roku pomnika marszałka, znajdującego się przy zbiegu dzisiejszych ulic Oświęcimskiej i Paderewskiego. Został on zniszczony w 1939 roku. Paweł Golaś politycznie związał się z obozem zwolenników Józefa Piłsudskiego i wstąpił do Narodowo-Chrześcijańskiego Zjednoczenia Pracy. Z list tej partii został w 1935 roku posłem do Sejmu Śląskiego, organu autonomicznego województwa śląskiego. Było to duże osiągnięcie, gdyż zasiadało w nim tylko 24 posłów. Podczas swojej poselskiej działalności zajmował się m.in. instytucjami państwowymi znajdującymi się na terenie Lublińca.

Przed wybuchem wojny Paweł Golaś zaangażował się w utworzenie w Lublińcu Batalionu Obrony Narodowej, złożonego z byłych powstańców śląskich, który m.in. patrolował granicę polsko-niemiecką. W wrześniu 1939 roku, po wycofaniu się z Lublińca, trafił do obozu jenieckiego, skąd udało mu się zbiec. Zagrożony aresztowaniem, ukrył się w Częstochowie. Został tam zatrzymany w 1940 roku i umieszczony w więzieniu na Zawodziu razem z innymi Polakami schwytanymi w tzw. Akcji AB, mającej na celu wyniszczenie inteligencji polskiej. Większość uwięzionych wysłano do obozów koncentracyjnych, natomiast część poddano natychmiastowej eksterminacji. Taki los spotkał również Pawła Golasia. Dzięki udanej ucieczce jednego ze skazanych na śmierć współwięźniów, udało się odwrócić przebieg egzekucji. W dniu 28 czerwca 1940 roku Niemcy wyprowadzili z cel częstochowskiego więzienia 15 Polaków, wśród nich również Pawła Golasia oraz innego powstańca śląskiego z naszego powiatu, Wilhelma Jaksika, pochodzącego z Hadry. Po odczytaniu im wyroku śmierci, grupę przewieziono do pobliskiego Olsztyna, gdzie po zawiązaniu oczu zostali rozstrzelani w miejscowym lesie i tam również pogrzebani w zbiorowej mogile. Była to pierwsza egzekucja przeprowadzona w ramach akcji AB w rejonie Częstochowy, w której ogółem zamordowano 92 Polaków. Zbiorową mogiłę ekshumowano w 1946 roku, a ofiary zostały pochowane na częstochowskim cmentarzu Kule. Szczątków Pawła Golasia oraz Wilhelma Jaksika nie udało się zidentyfikować. Spoczywają one w grobach z tablicami, na których umieszczono napis: NN rozstrzelany w Olsztynie.

W Lublińcu, oprócz tablicy umieszczonej przy rynku, postać Pawła Golasia upamiętnia niewielki plac nazwany jego imieniem, znajdujący się naprzeciwko jednostki wojskowej.

Sebastian Ziółek



Fragment cmentarza Kule z mogiłami zamordowanych w Olsztynie Polaków. Źródło: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Dzieje jednego żywota

Wojny napoleońskie w świadomości historycznej Polaków były nadzieją na odrodzenie się ich Państwa. Inaczej sprawa wyglądała na Śląsku, który po trzech wojnach śląskich (1740–1763) przeszedł spod panowania Austrii w ręce Prus. Wojny z Napoleonem były na Śląsku wśród bogatej warstwy społecznej pochodzenia niemieckiego odbierane jako wojny niepodległościowe. W wydany w 1911 roku „Der Landbote Lublinitzer Kreiskalender”, proboszcz sadowskiej parafii Carolus Urban opisuje historię życia jednego z parafian. Było to możliwe dzięki zapiskom w kronice parafialnej sporządzonych przez jego poprzedników ponad 100 lat wcześniej. A oto co pisał proboszcz Urban o swoim wiernym:



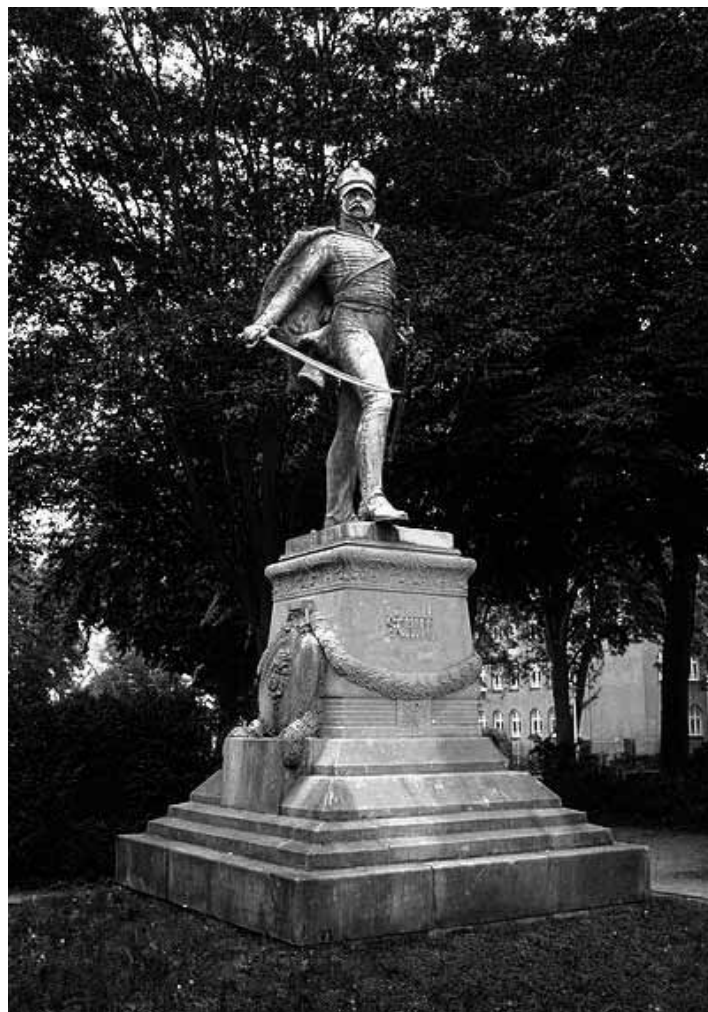
Ferdinand von Schill
Königlich Preussischer Major.

A.M.

FERDINAND VON SCHILL

urodzony 6 stycznia 1776 roku w Wilmsdorf koło Drezna, dorastał w Sadowie koło Lublińca, poległ 31 maja 1809 roku w Stralsund.

Ferdinanda von Schilla zalicza się do odważnych bohaterów z czasów napoleońskiego obcego panowania. Urodził się koło Drezna, ale już jako dziecko z rodzicami przywędrował na Górny Śląsk do Dolnego Sadowa koło Lublińca, gdzie jego ojciec objął spadek i został posiadaczem ziemskim w tymże Sadowie. Ferdinand był związany z tą miejscowością aż do swej chwalebnej śmierci. Można więc powiedzieć, że był górnoślązakiem z powiatu lublinieckiego.



Pomnik Ferdinanda von Schill w Stralsund.

Profesor dr J. Partsch – wykładowca geografii na Uniwersytecie w Lipsku, w swej książce *Górny Śląsk – kraina leśna nad Małą Panwią* na str. 129. pisze: „nie często spotyka się aby bohaterowi postawiono tak olbrzymi monument, jaki postawiono w ogrodzie parafialnym w Sadowie, dla Ferdinanda von Schill”. Dzieciństwo Ferdinanda opisuje Nicolaus Czernia, który w latach 1775–1803 był proboszczem w Sadowie, oraz jego brat Josef Czernia, który był jego następcą i zmarł w 1845 roku. Piszą oni: „Ferdinand był dobrym dzieckiem ale dzikim jeźdźcą, który ku postrachowi mieszkańców wsi na najdalszych nie osiodłanych koniach pokonywał szerokie rowy i wysokie płoty. Wzgórze w pobliżu wsi [przyp. to najwyższe wzgórze w okolicy zwane Cesarską Górą] było placem jego zabaw wojennych, z których niejedyn wiejski chłopak wracał do domu z krwawiącą raną głowy.”

W roku 1792 Ferdinand wstąpił do regimentu dragonów. W wyprawie wojennej 1792–1795 [przyp. prawdopodobnie chodzi o I i II rozbiór Polski] nie znalazł sposobności aby wykazać się swoją walecznością, pomimo iż regiment brał w niej czynny udział. Dnia 14.10.1806 r. pod Auerstadt został ciężko ranny, pomimo strasznego bólu i dolegliwości zdołał przez Magdeburg i Stettin (Szczecin) dostać się do Kolberg (Kołobrzeg), gdzie odpoczął i doszedł do sił. Napływ sił i czas na rozmyślanie spowodował, że Ferdinand uznał, iż Ojczyzna jest w potrzebie a on musi coś dla niej zrobić. Postawił się do dyspozycji komendanta von Loucadou, który młodego oficera kawalerii obdarzył obowiązkiem dostarczenia żywności z okolic Kolberg dla żołnierzy w twierdzy Kolberg. Już następnego dnia z 6 kirasjerami (kirasjerami) wjechał do miasta Treptow (Trzebiatów ok. 30 km za zach. od Kołobrzegu) i przegonił Francuzów okupujących to miejsce. Do Kolberg powrócił z pokaźnym łupem, na 100 wozach przywiózł 2000 hektolitrowo zboża. Teraz Schill poprosił o 30 żołnierzy, ażeby swoje przedsięwzięcie powtórzyć na większą skalę.

W międzyczasie przed twierdzą Kolberg przybył francuski pułkownik Mestram. Wzywał twierdzą do poddania się, został z pogardą odprawiony. Gdy się wycofał, Schill z 6 kirasjerami podążał za nim aż do Massow (Maszewo koło Szczecina), gdzie nocą wziął do niewoli 4 oficerów i 4 jeźdźców, których z wielkim triumfem przywiózł do twierdzy Kolberg. Jako, że dokładnie znał okolicę, w dniu 7.12.1806 r. Schill z 10 jeźdźcami oraz 10 żołnierzami piechoty przepędził z Gutzow (Golczewo) 50 żołnierzy oraz 20 jeźdźców wroga. Tym razem jego łupem były 3 załadowane wozy, liczne karabiny oraz 1000 talarów. Po tej bohaterskiej potyczce, Schill otrzymał od dowództwa zezwolenie na utworzenie „wolnego oddziału” (*freischar*). Wnet powstał – na początku

Opr. Andrzej Musioł • CD. NA STR. 11

DZIEJE JEDNEGO ŻYWOTA CD.

nieliczny – szwadron, z którym Schill codziennie wyruszał na wyprawy i wracał z licznymi łupami jak: konie, broń i pieniądze. Podjął także wyprawy na wyspy Wolin i Usedom (Uznam), z której powrócił z 1000 talarów. Równocześnie zajmował się tworzeniem i szkoleniem oddziału strzelców, który w lutym 1807 roku liczył już: 800 żołnierzy piechoty, 150 strzelców, 450 kawalerzystów oraz 5 armat. Schill prowadził ze „swoim” wojskiem regularną odrębną wojnę z Francuzami. Z dnia na dzień „rosło” nazwisko Schilla, jego zasługi w walce były szeroko znane. Toteż przed Bożym Narodzeniem 1808 roku Schill został awansowany do stopnia porucznika premiowanego orderem *Pour Le Merite*. Cztery tygodnie później ponownie awansował na rotmistrza, a po czterech miesiącach na oficera sztabowego. Rzadko kto osiągnął w ciągu pół roku tak wiele awansów. Toteż podziwiano waleczność Schilla. W 1808 roku Schill zaręczył się z Elsą, córką generała von Ruchel – przyjaciela ojca Ferdinanda. Nie zachowały się niestety listy, które Schill pisał do narzeczonej. Zostały zniszczone po jego śmierci, po której narzeczona wyszła za mąż za rotmistrza von Flemming. W tym samym roku (1808) przyjął Ferdinand wizytę swojego starego ojca w Sadowie.

Według rozporządzenia „kabinetu” w dniu 7.10.1808 r. „IV Szwadron Schilla” został przemianowany na „II Brandenburski Regiment Huzarów”. Schill na czele tego regimentu miał wkroczyć do Berlina. Z ciężkim sercem Schill żegnał się z Pomorzem, areną jego osiągnięć. Marsz do Berlina był dla Schilla i jego regimentu wielkim triumfem. Wszędzie witano go radośnie i z wielką gościnnością. Kiedy stanął przed bramami Berlina – stolicy, oczekiwał go generał ze swoim sztabem, gwardia narodowa, przedstawiciele magistratu oraz prawie połowa mieszkańców tego miasta. Wiwatowano na jego cześć, jak nikomu przed nim. Zwykły charakter człowieka cieszyłby się z tak „złotego” życia jakiego mógł prowadzić w stolicy. Ale nie Schill! On, ożywiony dążeniem swoim, bez wiedzy i woli króla, dnia 28.04.1809 r. wyrusza ze swoim regimentem za aprobatą swoich oficerów na wojnę z Napoleonem. W swojej przemowie do Napoleona, nazwał go rabusiem, który chce zrabować tron jego ukochanej Ojczyzny oraz pogrążyć cały naród, co się temu hultajowi nie uda. Austriacy wypowiedzieli wojnę wobec Francji i na pewno osiągną zwycięstwo. Westfalia szykuje się do powstania. Hiszpania i Tyrol walczą o swoją wolność. Niestety, Schill pomylił się w swoich oczekiwaniach, bo austriacka operacja nie powiodła się, a Saksonia i Westfalia nie poparła jego przedsięwzięcia.



Na zdjęciu: Ks Krzysztof Domoracki – obecny proboszcz sadowskiej parafii św. Józefa.



Na zdjęciu: ks.s. prob. Carolus Urban przy obelisku Schilla na cmentarzu w Sadowie.

Ale Schill uskrzydłony swoją odwagą i śmiałością dotarł ze swoim oddziałem aż pod Magdeburg i pod Dodendorf, pokonał oddział magdeburgskiego garnizonu. Przez Prusy wyparty, przez króla „wesołka” (brat Napoleona, który rezydował w Kassel) uważany za człowieka wyjętego spod prawa, przez wroga przemoc napastowany, Schill wycofał się ze swoimi ludźmi do Meklenburg, przy miejscowości Darmgarten. Podczas potyczki wziął w niewolę około 600 żołnierzy wroga. Potem z oddziałem schronił się w Stralsund. Tutaj został okrążony przez zjednoczonych Holendrów i Duńczyków pod dowództwem generała Gratien. W dniu 31.05.1809 r. po bohaterskiej i krwawej walce ulicznej, w której stracił generała Cateret z konia, poległ wraz ze swoimi towarzyszami.

Po południu kiedy wśród trupów rozpoznano ciało Schilla, główny lekarz holenderski Genour rozkazał odciąć głowę Schilla od tułowia i włożyć ją do misy szklanej wypełnionej winem, gdyż za tę głowę „ulicznego rabusia” (tak nazywał go król „wesołek”), „cesarz waleczny” Francji wyznaczył nagrodę 10 000 franków. Tak głowa Schilla nazwana „znakiem zwycięstwa” została dostarczona do Kassel do brata Napoleona – króla „wesołka” [przyp. król Westfalii Hieronim Bonaparte]. Tułowie Schilla zostało wrzucone na wóz ze słomą i dowieszone na cmentarz na przedmieściu i wrzucone do wykopanego grobu. Dnia 24.09.1837 r. głowa Schilla, która dotąd była przechowywana na uniwersytecie w Leyden (Holandia), została pochowana wraz z pozostałościami ciała 14 pruskich wojowników w Brunshweig. Podobno 11 oficerów Schilla wziętych do niewoli zostało rozstrzelanych w Wessel.

Ks. prob. Carolus Urban

Warto dodać, że ówczesne pruskie władze Lublińca nadały drodze z Lublińca do Sadowa nazwę *Schillstrasse*, dla uhonorowania zasług żołnierskich mieszkańca ziemi lublinieckiej. Nazwa ta funkcjonowała do połowy 1922 roku oraz w czasie II wojny światowej. Ciekawostką jest fakt, że kamienie wapienne pod budowę tej drogi wożono furmankami z wyrobisk na Lipskiej Górze.

Opr. Andrzej Musioł

Źródło: *Der Landbote Lublinitzer Kreiskalender für das Jahr 1911.*

Tłumaczenie: z j. niemieckiego gotisch dzięki uprzejmości p. Krystyny Bul.

Duszpasterstwo więźniów w Lublińcu w latach międzywojennych

Ewangeliczny nakaz o pocieszaniu więźniów zawsze był obecny w misji Kościoła. Była to z reguły posługa dla umierającego więźnia bądź dla skazanego, na którym miał być wykonany wyrok. Z czasem dopracowano się bardziej zorganizowanej formy mającej swoje umocowanie w prawie. Na Śląsku regularne duszpasterstwo więźniów pojawiło się w połowie XIX wieku, a jego inicjatorem był ks. kanonik Franz Xaver Heide z Raciborza. W 1853 roku powołał w tym celu stowarzyszenie *Bezirksverein für Besserung der Strafgefangenen*. Powstały dzięki niemu kaplice więzienne służące zarówno celom religijnym i resocjalizacyjnym.

Zorganizowanie duszpasterstwa więziennego stało się jednym z problemów koniecznych do uregulowania w nowej rzeczywistości państwowej w jakiej znalazła się część Górnego Śląska wraz z Lublińcem. Rządca Administracji Apostolskiej dla Górnego Śląska ks. August Hlond wydał zarządzenie o zorganizowaniu stałej opieki nad więźniami, którzy odbywali kary na terenie Administracji. Ale już przed opublikowaniem tego dokumentu próbowano uregulować posługę wśród więźniów. Niestety, wokół tego duszpasterstwa było w początkowym okresie sporo nieporozumień, które wymagały dodatkowych wyjaśnień i pism. Jak wynika ze źródeł konflikty przebiegały na linii duszpasterze – kierownictwo więzień lub naczelnicy sądów. W 1923 roku sprawa nie była uregulowana w całej Polsce, stąd biskupi dyskutowali na ten temat w Częstochowie. Aby duszpasterstwo wobec skazanych nie ucierpiało, zalecano kapelanom więziennym krótkotrwałe i tymczasowe zawieranie umów z dodatkowym zatwierdzeniem przez odpowiednią zwierzchność kościelną.

Pomimo wiedzy urzędników państwowych na temat braku ostatecznych regulacji ślali oni pisma do kurii w Katowicach skarżąc się na poszczególnych kapłanów. Skargi dotyczyły zwłaszcza braku umów lub nie wypełniania obowiązków względem więźniów. Między innymi w jednym z pism, datowanym na 16 lutego 1924 roku, prokurator przy Sądzie Apelacyjnym w Katowicach skarżył się na ks. Józefa Dwuceta, który rzekomo odmawiał podpisania stosownej umowy, ale podkreślił, że nabożeństwa odprawiał. Jak się okazało umowa dawno została podpisana z naczelnikiem Sądu w Lublińcu i odesłana do prokuratury, o czym zaświadczył lubliniecki proboszcz w stosownym piśmie do kurii w Katowicach 9 marca. Jednak prawdziwym źródłem niesnasek było zachowanie urzędników wobec księży. Ks. Teofil Bromboszcz jasno odpowiedział na zarzuty prokuratorowi: „(...) by zechciał zwrócić się także do przełożonych więzień, aby się odnosili do kapłanów katolickich i urzędów parafialnych z uszanowaniem, jakie im się należy i jakiego na Śląsku zawsze doznawali”.

W następnych miesiącach 1924 roku sytuacja się unormowała. Ustalono projekt umowy, którą kapelani mieli podpisywać z naczelnikami więzień oraz dokonano rozdziału ilości nabożeństw, które w ciągu miesiąca miały być sprawowane. Kapelan z Lublińca, proboszcz Dwucet, był zobowiązany do dwukrotnego odwiedzania więzienia, gdzie obok nabożeństwa powinien zadbać o katechizację, pociechę i szczególnie zatroszczyć się o młodocianych więźniów. Wszystkie te czynności były opłacane w wysokości 15 zł miesięcznie z dołu.

Kolejny konflikt nastąpił w 1926 roku. Rok wcześniej ustalono nowy taryfikator płac dla kapelanów więziennych, których wysokość miała stanowić 24%, 12% lub 6% uposażenia samotnego urzędnika X stopnia. Według klasyfikacji służby więziennej lubliniecki zakład karny należał do trzeciej najniższej klasy. Zatem płaca kapelana z Lublińca miała wynosić 11,48 zł. Opisane szczegóły są istotne, gdyż prokurator z Katowic wskazał kapelanów, którzy odmówili podpisania umów, a nawet opieki duszpasterskiej więźniom. Ks. Dwucet należał do tych, którzy nie podpisali umowy z powodu traktowania go jako urzędnika państwowego. Natychmiastowa reakcja ks. T. Bromboszcza względem duchownych spowodowała wyjaśnienie takiego postępowania. Lubliniecki proboszcz przede wszystkim nie zaniechał regularnego duszpasterstwa wynikającego z poprzedniej umowy, ale odmówił zawarcia kontraktu, ponieważ nie zgadzał się z formą traktowania księdza katolickiego jak urzędnika najniższego szczebla. Jak dalej zaznaczył nie chodziło o wysokość pensji, ale o relacje wzajemne. Sugerował nawet podpisanie przez kurię umowy „wszech obowiązującej”.

Nie wiemy, czy w następnych tygodniach korespondencja na ten temat trwała i jakich szczegółowych zagadnień dotyczyła, ale w maju 1926 roku proboszcz zaproponował na stanowisko kapelana więzienia ks. Roberta Gajdę, ówczesnego wikarego, pod warunkiem sprawowania posługi tylko w dni powszednie. Dodatkowo sam zainteresowany sugerował stworzenie stanowiska kapelana więziennego dla całej diecezji. Sugestie te nie wpłynęły na zmianę prowadzenia duszpasterstwa w sensie organizacyjnym, ale do momentu wybuchu II wojny światowej lubliniecki proboszcz był kapelanem więźniów, któremu w pracy pomagali kolejni wikarzy należący do prezbiterium diecezji katowickiej. Jednak brak wyznaczonego kapłana skupienia na pracy z więźniami, a przydzielenie tego duszpasterstwa kapłanom parafialnym, pociągało za sobą zastępstwa i pewne zamieszanie trudne dla obu stron. Braki personalne ówczesnej diecezji katowickiej sprawiły np. że jednym z wikarych w parafii św. Mikołaja był ks. Anatol Lampka SDS (salwatorianin), który został tutaj przysłany do pomocy za zgodą swojego prowincjała. Właśnie z jego listu datowanego na 27 kwietnia 1939 roku, czyli po 2–3 tygodniach od momentu przybycia do Lublińca, dowiadujemy się, że już zastępował proboszcza w pracy duszpasterskiej w więzieniu.

Istnieje trudność w odtworzeniu metod duszpasterstwa więziennego. Zarówno proponowany projekt umowy z 1924 roku oraz wzmiankowane pismo prokuratora z Katowic z 1926 wyliczają bardzo szeroko formy posługi. Obok nabożeństw z kazaniem praca kapelanów obejmowała słuchanie spowiedzi, wezwanie do umierającego, pogrzeby, udzielanie pociechy duchowej na wezwanie więźnia, szczególny rodzaj opieki nad młodocianymi, odbywanie pogadanek religijnych, a nawet uczestniczenie w naradach więziennych. Przy natłoku zajęć w parafii, brakach personalnych i wielu innych polach działalności duchowieństwa ciężko byłoby jednemu kapłanowi w sposób metodyczny i całościowy realizować te założenia. Można zatem przypuszczać, że kapelani w dużej mierze ograniczali się do sprawowania sakramentów w ustalonych wcześniej terminach oraz odpowiadania

Krzysztof Kanclerz • CD. NA STR. 13

DUSZPASTERSTWO WIĘŹNIÓW CD.

na nagłe przypadki. Pewna normalizacja i odciążenie księży nastąpiło po 20 czerwca 1931 roku kiedy opublikowano rozporządzenie ministra sprawiedliwości dotyczące regulaminu więziennego. W myśl rozporządzenia duchową opiekę nad osadzonymi oddano w ręce tzw. komitetów więziennych.

Lublinieccy więźniowie mieli zapewnione podstawowe usługi kapłańskie. Czynności religijne mogli wypełniać w więziennej kaplicy dwa razy w miesiącu. Ponieważ osadzeni pochodzili z różnych części Polski dlatego ci z nich, którzy byli grekokatolikami mieli to szczęście, że z końcem lat trzydziestych odwiedzał ich z posługą sakramentalną kapłan obrządku wschodniego ks. Antoni Hodys. Dodatkowo, pismem z 21 maja 1939, kuria wydała mu zgodę na tę posługę do 31 grudnia 1942 roku.

Autor nie dysponuje szczegółowymi danymi statystycznymi dotyczącymi usługi sakramentalnej. Z dostępnych

można wnioskować przede wszystkim, że wszelkie liczby dotyczące posługi sakramentalnej były włączane do ogólnoparafialnych zestawień. Dopiero z końcem lat trzydziestych „Tygodnik Parafii Lublinieckiej” (pismo parafialne istniejące od 1936 roku) wyodrębnił liczbę udzielonych Komunii świętych w lublinieckim więzieniu. W 1937 udzielono 494 Komunii, a w roku następnym 615. Co w każdym przypadku stanowiło niespełna 0,30%.

Obok kościelnej opieki nad więźniami znaczące osiągnięcia miało Towarzystwo „Patronat” stawiające sobie za cel poprawę stanu moralnego i materialnego więźniów, ich uzdolnienia do przyszłej pracy zarobkowej, dopomaganie uwolnionym oraz wspieranie moralne i materialne rodzin więźniów. Jednak ten aspekt wykracza już poza ramy niniejszego artykułu. Jedno jest jednak pewne dla wymiaru poznawczego historii Lublińca – zagadnienie dziejów więziennictwa czeka na szersze opracowanie.

Krzysztof Kanclerz

Dawne hutnictwo żelaza w powiecie lublinieckim

Ziemia Lubliniecka była niegdyś jedną z kolebek górnośląskiego przemysłu wydobywczo-hutniczego. Wśród jej rozległych lasów i pól, dymiły przed wiekami liczne kuźnice i wielkie piece. Dziś miejsca te, w których ongiś rozwijała się działalność przemysłowa, popadają w zapomnienie, a upływający czas zaciera resztki śladów po tych dawnych tradycjach hutniczych.

Stare przekazy pisane wspominają o tym, że początki kopalnictwa rud i hutnictwa sięgają na Górnym Śląsku czasów starożytnych. Z opisów historyka rzymskiego Tacyta (I–II wiek po Chr.) oraz Ptolemeusza (II w. po Chr.) dowiadujemy się, że przodkowie Górnoślązaków żyjący na południe i wschód od Opola trudnili się już w tamtych zamierzonych czasach prymitywnym wytopem metali. Większe ożywienie w tej dziedzinie nastąpiło na tych ziemiach w czasach średniowiecznych. Rozwijało się wtedy kuźnictwo leśne, zwane też poligonowym, z ziemnymi ogniskami dymarskimi, które przetrwało do XIII wieku. Od czasów, gdy Śląsk został w dużej mierze wyludniony i gospodarczo wyniszczony przez najazd Tatarów w 1241 roku, książęta śląscy zaczęli sprowadzać kolonistów z Niemiec, by usunąć zniszczenia oraz zaludnić wsie i miasta. Próbowali też podźwignąć podupadłą gospodarkę. Przybyli na przełomie XIII i XIV w. kuźnicy z Miśni zaczęli zakładać na tym terenie już bardziej nowoczesne kuźnice z murowanymi piecami dymarskimi, zwanymi ogniskami lupowymi.

W połowie XIV w. przybywa kolejna grupa kuźników niemieckich. Od tego czasu zaczynają u nas powstawać kuźnice nadrzeczne, zmechanizowane, w których urządzenia poruszane były już za pomocą koła wodnego. Zaczęły się one pojawiać w okolicach Tarnowskich Gór i Lubliniecka.

Od najdawniejszych czasów Ziemia Lubliniecka słynęła z bogactwa lasów. Stwarzało to dogodne warunki do rozwoju hutnictwa, bowiem jego podstawą był wówczas węgiel drzewny. Ponadto tutejsze rzeki i strumyki mogły dostarczać energii wodnej, a w ich zabagnionych dolinach występował dostatek rud darniowych. Tędy prowadził też szlak handlowy z Zachodu przez Wrocław, Opole, Lubliniec, Woźniki, Siewierz, Kraków

i dalej, na Wschód. Niestety, rozwój hutnictwa na Górnym Śląsku napotykał na przeszczeni dziejów na przejściowe przeszkody i utrudnienia. Już w latach 1433–1434 większość kuźnic na tym terenie została spustoszona przez Husytów, a wsie wyludnione. Również wojny w następnych wiekach, a także częste klęski żywiołowe i zarazy sprawiały, że życie gospodarcze musiało się odradzać kilkakrotnie. Z tych przyczyn do połowy XVIII w. hutnictwo górnośląskie rozwijało się dość miernie. Po przejściu Śląska przez Prusy nastąpił na tym terenie gwałtowny rozwój przemysłu. Rząd pruski starał się dla własnych potrzeb maksymalnie wykorzystać tkwiące w Ziemi Górnośląskiej bogactwa i potencjał ludzki. Od połowy XVIII w. wzrasta liczba zakładów przemysłowych. W dotychczasowych kuźnicach obok pieców dymarskich wznoszono wtedy dodatkowe piece zwane fryszerkami (świeżarkami), w których odtąd „odświeżano” żelazo uzyskane w dymarkach. W wyniku tego otrzymywano żelazo gatunkowo lepsze, z mniejszą zawartością węgla i innych zanieczyszczeń. Ponadto powstawały wielkie piece, walcownie, cajnarki i inne obiekty przemysłu metalowego.

W Lublinieckiem zakłady te były gęsto usiane wzdłuż Małej Panwi i Górnej Liswarty oraz ich dopływów. Jedne powstały tu już w średniowieczu, inne w następnych stuleciach. Często też w miejscach, w których wcześniej istniały stare kuźnice, na ich gruzach tworzyły się nowe skupiska zakładów.

DAWNE ZAKŁADY HUTNICZE W DORZECZU MAŁEJ PANWI:

- Koło Woźnik – 2 kuźnice (na uroczysku Kuźnik i na Garbatym Moście). Obie zniknęły już w XIV w.

Damian Gołąbek • CD. NA STR. 14



DAWNE HUTNICTWO CD.

- Kuźnice średniowieczne w Zielonej, Truszczyca, Mokrusie, Kuczowie, Jędrysku i koło Drutarni (kuźnica Plaplińska).
- Drutarnia – fryszerka w XVIII–XIX w.
- Brusiek – kuźnica od średniowiecza, 3 fryszerki, wielki piec i 2 cajniarki w XVIII–XIX w.
- Pusta Kuźnica – 2 fryszerki i kuźnia żelaza sztabowego w XVIII–XIX w.
- Dolna Kuźnica (Krywałd) – fryszerka w XVIII–XIX w.

STARE HUTNICTWO WZDŁUŻ GÓRNEJ LISWARTY:

- Boronów – od XV w. kuźnica, fryszerka w XVIII–XIX w.
 - Doły – od XVI w. kuźnica, fryszerka w XVIII–XIX w.
 - Hadra – od począt. XVIII kuźnica, potem fryszerka, a obok Hadry (na Kiju) kuźnica i fryszerka.
 - Mochała – od XVII w. kuźnica, potem fryszerka. Od połowy XIX w. do 1910 – fabryka łyżek metalowych.
 - Chwostek – od XVI w. kuźnica, od poł. XVIII–XIX w. wielki piec i cajniarka.
 - Lisów – od średniowiecza kuźnica, od 1740–1846 fryszerka, potem wielki piec i tłucznia młotowa rudy.
 - W pobliżu Lisowa w XIX w. huta „Karolina” z wielkim piecem i huta „Sylvius”.
 - Tanina – od XVI w. kuźnica, od 1780 wielki piec i fryszerka, od 1840 wielki piec i 2 fryszerki. Od 1850 do 1876 walcownia stali. Jej 40 – metrowy komin został wysadzony w powietrze w 1912 roku.
 - Na Stasiowym – od końca XVIII w. fryszerka.
 - Na Dryndowym – w XVIII w. kuźnica, potem fryszerka.
 - Brzegi – od końca XVIII w. 2 fryszerki, w XIX w. wielki piec i cajniarka.
 - Niwka – od XVI w. kuźnica, w XIX w. fryszerka.
 - Pilawa – najpierw kuźnica, w XIX w. wielki piec i cajniarka.
 - Kierocze k/Wędziny – od końca XVIII r. fryszerka, w XIX w. wielki piec.
- W latach 1815–1820 właściciel dóbr ziemskich koło

Ponoszowa i Glinicy, Oskar Kościelski, zbudował nad Liswartą kanał hutniczy, który ciągnął się od Taniny przez Stasiowe, Brzegi, Niwkę do Pilawy. Zasiłał on w energię wodną 3 wielkie piece, 5 fryszerki i 3 młyny.

NAD MOLNĄ, LEWOBRZEŻNYM DOPŁYWEM LISWARTY, ZAKŁADY HUTNICZE ZNAJDOWAŁY SIĘ W NASTĘPUJĄCYCH MIEJSCOWOŚCIACH:

- Bogdała – w XVIII w. kuźnica, czynna do 1768 r.
- Płaszczok – od 1736 r. kuźnica, od 1780 r. 2 fryszerki.
- Mokrusz – od pocz. XVIII w. kuźnica, od 1780 r. fryszerka, później cajniarka.
- Molna – Od drugiej poł. XVIII w. wielki piec i 2 fryszerki.
- Kuźnica Sierakowska – od pocz. XVIII w. 2 kuźnice, od 1780 r. fryszerka.
- Kuźnica Ponoszowska – na pocz. XIX w. 3 fryszerki z młotem cajniarskim, potem wielki piec.

Największy rozkwit tego hutnictwa nastąpił w latach 20-tych i 30-tych XIX w. W połowie tego stulecia liczne dotąd zakłady zaczęły się powoli przeredzać z powodu przestarzałych metod wytwarzania opartych na wykorzystywaniu węgla drzewnego i energii wodnej oraz na skutek wyczerpania się miejscowych zasobów surowcowych. W powiecie lublinieckim dawały się również we znaki trudności transportowe (nadal transport konny). Z tych względów dalsza produkcja stawała się coraz bardziej nieopłacalna. Trudno było konkurować z rozwijającym się wtenczas gwałtownie nowoczesnym przemysłem hutniczo-metalowym w rejonie Bytomia, Królewskiej Huty i Katowic, który oparty był już na wykorzystywaniu węgla kamiennego i doskonalszych osiągnięć technicznych. W dodatku w roku 1864 na dotychczas nieopodatkowane przedsiębiorstwa hutnicze nałożony został podatek przemysłowy, który w znacznym stopniu przyspieszył upadek już i tak dogorywającego hutnictwa lublinieckiego. W roku 1884 zostały zamknięte ostatnie zakłady hutnicze na tutejszym terenie.

Damian Gołąbek

Historia szkoły w Jawornicy w I połowie XX wieku

Początki szkolnictwa w Jawornicy sięgają I połowy XX wieku. W dostępnych publikacjach najczęściej używa się sformułowania: „Na krótko przed I wojną światową nastąpiło zasiedlenie północnej strony wsi. Z tego też okresu pochodzi istniejący do dziś budynek szkoły podstawowej”¹.

Można w tym miejscu podać jeszcze bardziej precyzyjne informacje: „W 1902 r. zbudowano na gruncie Tomalów szkołę w Jawornicy z jedną izbą szkolną i mieszkaniem dla nauczyciela Szajnowskiego (...). W 1913 r. dobudowano drugą izbę lekcyjną, bo przybywało dzieci, a na piętrze mieszkanie dla drugiego nauczyciela. Kierownikiem szkoły był wówczas Rücker”².

Przeprowadzony z inicjatywy Kingi Jeziorskiej i Wiktorii Stępień, uczennic Gimnazjum im. Jana Pawła II



Szkoła w Jawornicy. Zakończenie roku szkolnego starszych klas – 5 czerwca 1939 rok. Na zdjęciu w otoczeniu uczniów kierownik szkoły Teodor Wicher z nauczycielką Marią Kolasińską. Źródło: Zdjęcie udostępnił Pan Gerard Swoboda.

¹ Kronika parafii w Jawornicy.

² M. Hofman, *Między prawdą a legendą. Fakty, wydarzenia, opowieści, legendy gminy Kochanowice*, Kochcice 2006, s. 34–87.

HISTORIA SZKOŁY CD.

w Kochanowicach wywiad z panem **Gerardem Swobodą**, byłym uczniem szkoły w Jawornicy w latach 1939–1946, ujawnia wiele cennych informacji.

Pan Gerard tak wspomina szkołę w Jawornicy ze swych młodzięcych lat:

Przed wybudowaniem budynku szkolnego w Jawornicy, uczniowie uczęszczali do szkoły w Kochanowicach, nazywanej też szkołą „muruwaną”. Budynek szkolny w Jawornicy, został wybudowany prawdopodobnie w latach 1907–1908. W skład budynku wchodziły dwie klasy szkolne, pomieszczenia mieszkalne dla kierownika szkoły na parterze i dwa pokoje z kuchnią na poddaszu dla nauczycielki.

Do roku 1918 nauczanie w szkole było w języku niemieckim, bo wtedy byliśmy pod zaborem pruskim. Od roku 1920 nauczano już w języku polskim, a nauczycielami byli kierownik szkoły Teodor Wicher i nauczycielka Maria Kolańska. Nauka odbywała się w dwóch pomieszczeniach klasowych dla sześciu oddziałów klasowych. Klasy 1–3 jako klasy łączne uczyła Pani Kolańska w pomieszczeniach z oknami na boisko, zaś kierownik szkoły Pan Wicher uczył klasy 4–6 w pomieszczeniach z oknami na dzisiejszą ulicę Szkolną.

Wszystkie klasy liczyły średnio po około piętnaście uczniów stąd łatwo policzyć że w pomieszczeniu klasowym było po około 45 uczniów. Śmiało można powiedzieć, że dla nauczycielki były to warunki trudne do nauczania i stąd poziom przekazywania uczniom wiedzy był słaby.



Kapelle. Gruss aus Jawornitz O.-S. Schule.
Das magst Bertha & Theresia, Sylvia, Rosa, Paul, Auguste

Lata 1905–1920, Pozdrowienia z Jawornicy/„Gruss aus Jawornitz”.
Źródło: Materiał udostępnił Pan Piotr Kalinowski.

Przedmiotami nauczania były: religia, język polski, przyroda, geografia, historia, śpiew i prace ręczne odpowiednie dla dziewcząt i odpowiednie dla chłopców.

W 1939 roku przyszli Niemcy i nauka w szkole odbywała się w języku niemieckim, do roku 1944. W tym czasie w szkole duży nacisk kładziono na: poprawne czytanie, poprawne pisanie, opowiadanie tekstu z przeczytanej czytanki, naukę wierszy na pamięć, czyste dyktanda, na matematykę w zakresie ułamków, dzielenia i mnożenia w słupku, procentów i tabliczki mnożenia. Również bardzo duży nacisk kładziono na wychowanie fizyczne takie jak: biegi na czas, skok w dal, skok wzwyż, gry zręcznościowe na boisku szkolnym np. „walka narodów” i tak dalej. Nie było geografii i historii. W 1940 wymieniono w szkole stare meblowanie na bardziej funkcjonalne w tym dwuosobowe ławki, oraz doprowadzono prąd elektryczny. W 1945 roku w lutym, rozpoczęto w szkole naukę w języku polskim. Kierownikiem szkoły był Piotr Przyszcypowski. Sam uczył klasy łączone i tak: klasy 4–6 od godziny 8 do 10-tej zaś klasy 1–3 od godziny 11 do 13-tej. Przedmioty, które uczył, były takie jakie obowiązywały przed wybuchem II wojny światowej³.

W tym okresie po przejściu frontu na zachód, władze napotykały wiele trudności podczas uruchamiania szkolnictwa istniejącego przez prawie sześć lat pod okupacją. Ogromny problem nie tylko dla okolic Lublińca, stanowił także brak kadry pedagogicznej, zniszczone budynki szkolne, brak sprzętu, pomocy naukowych, podręczników i bibliotek⁴.

Mariusz Żymierski

Nr. listy	Namen		Deren		Tag und Jahr		Sittliches Verhalten
	der Stinder.	Geburtsort.	der Eltern.	Stand.	bei Geburt der Kinder.	bei Eintritt in die Schule	
157	Hubert Ruffin	Jawornica	Joseph R.	Landwirt	o. k.	24. 7. 37	
158	Syrella Josef	Widom-Weiß	Therese	Landwirt	o. k.	31. 1. 37	
159	Jaluska Leo	Jawornica	Christian J.	Landwirt	o. k.	8. 6. 38	1. 9. 44
160	Lubinka Roman		Johann J. Zimmerman			14. 5. 38	
161	Styż Alois	Jawornica	Therese	Landwirt		15. 5. 38	
162	John Antoni		Roman J. Kobacki			11. 5. 38	
163	Janina Theresia		Joseph R.	Landwirt		6. 9. 38	
164	Augusta Anna		went. Stefan			9. 8. 38	
165	Parowski August		August A.	Landwirt		7. 1. 38	
166	Wiktoria Wiktoria		Paul W. Hub.			1. 4. 38	

Fragment wykazu uczniów z Jawornicy rozpoczynających naukę w roku szkolnym 1944–45. Źródło: Archiwum szkoły w Kochanowicach.

³ Wywiad przeprowadzony przez Kingę Jeziorską i Weronikę Stępień z panem Gerardem Swobodą.

⁴ J. Jaros, *Lubliniec. Zarys rozwoju powiatu*, Katowice 1972, s. 221–239.

Tragedio Gornoślonsko na Ziymy Lublinieckyj

Witom!

Wczešnjy, ło poł dziewontyj, posłotech Wom tekst ło Tragedyji Gornoślonskij na naszymy Ziymy Lublinieckyj. Tekst tyn jes efektyem spotkaniø ze Czciogodnym Bogusijym Hrycykiym i piyknom Paniom sekretorz Redakcyji Waszjy gazyty! Jak my wtynczos połosprawiali, to uznali my, iże mogbych naszkryftać do Waszjy gazyty jakiś tekst ło tych wydarzyniach, tragicznych i bolon-cych do dzisioj.

Mom nadziejo, iże go puścicie bez żodnego ciyncio! Jak sie zdecydujecie i uznocie za stosowne go ło publikować, to pod mojim psełdonimym – Juliusz Reclik. To ku pamjynci mojj starki! łoncza uszanowanij.

Tragedyjo Gornoślonsko i idące za niom ciyrpiynie dzie-siątek, a można i setek tysiyncy Gornoślonzokow, do dzi-siej som tymatym tabu. Ze historycznego punktu widzynie i dostympu do prowdy historycznyj, niy pojmuja czymu.

Minyno już 72 roki łod początku tych tragicznych wyda-rzyni i żodyn z naszymy lokalnych fachmanow łod historyji, jak dotont, na poważnie niy podjon tego tymatu. Chociż wiadomym jes, iże nawet nojtrudnijsze historyczne zda-rzynia upublicznie sie po 50-ciu rokach. Czas, kery upły-non łod tych dramatycznych wydarzyni jes wystarczajon-co dugi, coby we zgodzie z prowdom, łobiektynnie i bez zbyndnych emocyj ta tragedyjo łoszkryftać (łopisać) i za-szkryftać (zapisać) we dziejach historyji naszymy małyj Kra-iny. Cołke zło, kere łoba totalitarne systymy dwadziestego wieku, wyrzondzioły ludziom i narodom, niy jes do napra-wynio. Bowiem wtynczos uruchomione łostały postawy niegodne czowieczyństwa. Nale boły tyż poszczod ludzi czyny chwolebne i wryncz bohaterske.

Zocny Edward Wieczorek ze Koszyńcina napisoł niegdys, cytuja: „Možno i cza-czas jes ku tymu nojwyższy – za zło napiyntnować, nale umieć je tyż wyboczyć. Dobre zaś czy-ny ludzi docynić i jich postawy uhonorować. Prowda, spra-wiedliwość i pszonie (miłoość, kochanie) winny kerować na-szymi postawami”.

Łoszkryftanie tych zdarzyni pozwoliłoby, przeca już do-wno, lepij pojońć dzisiejsze relacje Ślonzokow ze Poloka-mi, abo jak to u nos godajom Gorolami! Co wiymy ło łobo-zie we śpineryji? Co wiym ło nim jo?

28 styczniø tegoż roku łodboł sie I-szy Marsz Pamjynci ło Przyndzani. Po Marszu kupa ludzi prošoło mie, cobych coś ło tym naszkryftoł. Bo ło tym, iże we Przyndzalni boł tyż oboz przimusowyj roboty, prawie żodyn z nos nic niy wi-y.



Niystety, ło tym łobozie wiymy niy za wiela. Jo, na dzi-siej zbiyrom materiały i światkow. Mom dzisiej 4-ech świad-kow po przesłuchaniu, co tyn łoboz przeżyli i pora człon-kow rodzin wiynzionych. Jo som je świadkym, bo tragedio ta dotknyła tyż rodziny mojj żyjoncyj jeszcze mutry, mo 86 lot. Tyż jedna śp. ciotka mojj ślubnyj tego doświad-czoła. Łoproc z tego, mom relacje członkow mojj rodzi-ny i miyszkańcow Lublyńca i powiatu, tyczonce sie ink-szych miyjsc gnymbiynie rdzynnych miyszkańcow naszymy Krainy, takich jak lublyniecki hereszt i UB na rogu łobec-nych ulic Żwirki i Wigury, i Śobieskiego (stare stawiynie / budynek/ niegdysiejszyj bursy i śpitala wewnyntrznego) we Lublyńcu.

Zeznania i materiały zbiyrom dalyj. Mom już poumawia-ne spotkania ze świadkami, czy członkami jejich rodzin.

Jakeś materiały i zeznania światkow majom tyż Edward Wieczorek i Jan Myrcik ze Koszyncina. Ale coś poważnij-szego we tymacie jeszcze niy udostympniyli. Jan Myrcik na-pisoł we roku 2015, we 2-gim numerze „Ziymy Lublinie-cyj” wydowanyj bez lublyniecke Starostwo, ostrożny arti-kel *Tragedia Gornośląska. W bydlęcych wagonach na Wschód i Zachód*. Potwierdzo w niym istnynie obozu we Przyndzal-ni. Artikel tyn jes na mojj stronie niżyj. Nojwiyncyj wi-y my ze materiałow niymieckich, czynściowo udostympnio-nych E. Wieczorkowi i J. Myrcikowi. Jo tyż mom pora kopji.

Przyndzalnia Wełny Czesankowyj, zwano u nos „Śpi-nerijjo” abo „Fabryka”, postawili we 1911 roku Francuzy. Po I-szyj wojnie światowyj boła społkom akcyjnóm „Unio-ne Textile”. Wiynkszość kapitału mieli Francuzy. Bez II wojna światowo – jak pisze śp. Jan Fikus, lublyniecki kro-nikorz, Niymcy wszczimali produkcjo, maszyny wywiyżli do Rajchu i Fabryka słužoła celom wojskowym. Niy wiado-mo czy to je prawda, bo według starych miyszkańcow Lu-blyńca i starych fabrycznych robotnikow, maszyny wywiyż-li Rusy we 1945 roku.

Poloki po wojnie uruchomili produkcjo dopiyo we 1954 ro-ku. Na ruskich maszynach zaczyni produkcjo noprzod sznorka papiyrzanego, a potyn przyndzy lnianyj, ze keryj przyndli lniany sznerek. Robioł już tam wtynczos, za ślu-sorza, mojj fater.

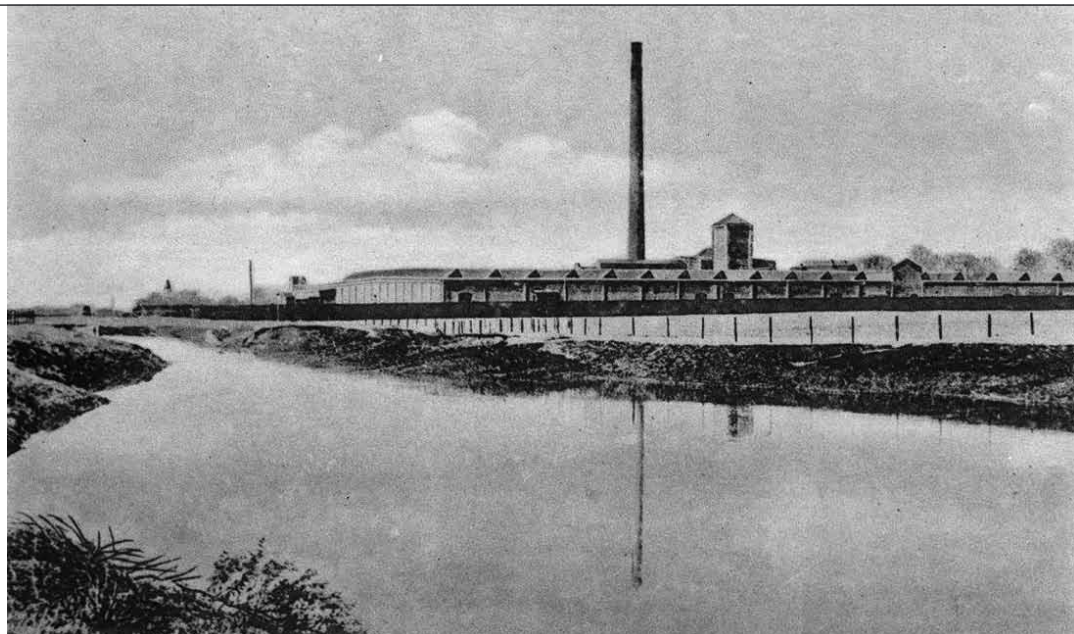
Pod koniec styczniø 1945, jak do Lublyńca wleźli Ru-sy, we Przyndzalni polske komunisty łotwarli łoboz robo-ty przimusowyj do naszymy autochtonow, prawie yno ze owczesnego powiatu lublynieckigo. Łoboz tyn prawdopo-dobnie boł łobozym przejściowym. Podug źrodeł niymiec-kich i polskich, przewinońć sie mogło przez niego łod 1000 do 1500 ludzi. Łoboz funkcjonowoł do końca lipca 1945 ro-ku, kedy to łod poły tego miesionca, reszta tych co przeżyli,

Juliusz Reclik • CD. NA STR. 18

TRAGEDIA CD.

wywiźli bydłokami abo krowiakami do Saksoni. Wyładowali jich w Riesa i umieściyli we przepelnionych barakach Czerwonego Krzyża. We archiwach niemieckich som szczegółowe sprawozdania ło tych koszmarnych transportach.

Podug niemieckich źródeł, na 11 225 owczesnych miyszkańców Lublyńca, łod 2,5 do 3 tysioncom udało sie uciyc przed wkroczyniym Rusow. Kole 8 tys. łostało, bo publiczne łostrzeżynia (np. bez radyjo) za późno do nich dotarły. Po przyjsciu Armji Czerwonyj bez nasz powiat, 19 stycznia



1945 roku, ło zaroz władza przejanya polsko komunistyczno milicjo i bespieka (źr. polske), polske grupy partyzancke i polske wojsko (źr. niemiecke i polske).

Pisze ło tym koszynciński kronikorz tamtego czasu, Jozef Ulfik, porucznik LWP, urodzony we Koszyncinie. „W pościgu za Niemcami – pisze Ulfik – najpierw szło wojsko radzieckie, którego zachowanie było bardzo niewłaściwe, a za wioskiem szła »Milicja Obywatelska« i »Urząd Bezpieczeństwa«, do których wszystko należało [...], [...] a na ostatku szli ci, którem na niczem nie zależało, tylko zdobyć materialna, [...]. Jeżeli im sie w ich podłej czynności się sprzeciwił, ten był uważany za Niemca, i przez to działał się wiele krzywdy ludności tubylcze” (zapis we oryginale).

Do pozostałych u nos Ślonzokow i Niymcow, pozbawionych praw i łochrony, prziszło czas ciyrpienio, nyndzy i beznadzieji.

Podug źródeł DFK Opole, Autochtony-Ślonzoki i volksgrupe I i II, czyli przede wszystkim łosoby starsze łoroz kobiety i bajtle, byli za dnia i nocy wywożyni ze swoich chałpow do Przyndzalni, heresztu (tego dzisiejszego) i na UB we „staryj internie” na Żwirki i Wigury. Zaczono sie plondrowanie chałpow i miyszkań Ślonzokow i Niymcow, interesow i sklepow, a we niylicznych przypadkach je plombowali. Chopow i łoroz wojokow, kerzy późnij wrocali ze angielskich i amerykańskich łagrow, tyż zamykali jak wyżyj, a jak tam niy było miysca, to we wybranych pywnicach. Sond wydował wyroki we trybie przispieszonym, boła to śmierć abo dugoletnie przimusowe roboty w szpecjalnych łobozach przimusowij roboty, abo wywozki do ZSRR. Wielo gospodarzy łostało zabitych we swoich majontkach, wiedzom yno ci co przeżyli (według źr. niemieckich i polskich). Czynściowo potwierdzto to wspomniany już J. Ulfik ze Koszyncina we swojy kronice.

Ówczesny kapelonek fary św. Mikołaja, H. Schmidt, łopublikował w Riesa spis uchodźcow i wypyndzonych: *Wspólnota potrzeby parafii św. Mikołaja w Lublińcu*. Dużo idzie sie tyż dowiedzieć ze kartotyki Gornego Ślonska, wschodniego Ślonska i Wrocławio (kościelne biuro poszukiwań, urzyndowe udzielanie informacji) założonyj we Passau.

We 1953 roku niemieckie Federalne Ministerstwo do Spraw Wypyndzonych wydało piyrszy tom publikacyji pt. *Wypędzenie narodu niemieckiego z terenów na wschód od Odry i Nysy*. Styj publikacyji wyniko, iże takich jak Przyndzalnia obozow roboty przimusowij, boło na terynie całego Gornego i Dolnego Ślonska 1255, nasz hereszt sondowy zaś jednym

ze 257 takich obiektow, kere służyły aresztowaniu i drynczyniu Gornoślonzokow i Niymcow na wschod od Odry i Nysy. Cołko dokumyntacyjo tego Ministerstwa pt. *Dokumentacja wypędzenia z Europy Wschodniej/Środkowej* łod 1954 roku znajduje sie we Federalnym Archiwum we Koblyncji, kaj dalyj łopracowowali zbrodnia wypyndzynio i we mindzy czasie zgromadziyli i sprawdzili ponad 40 tys. pojedynczych dokumyntow.

Niymcy do nojbarzij haniebnych obozow koncyntracyjnych na Gornym Ślonsku zaliczajom: Lambsdorf-Łambinowice, Mysłowice, Tarnowske Gory, Toszek i Gliwice, w Polsce zaś: Jaworzno, Sosnowiec, Potulice pod Bydgoszczom, Gronowo pod Lesznym i Sikawa pod Łodziom.

Te i wielo inkszych danych pochodzom ze publikacyji *Zbrodnia na Niemcach-ofiary na Wschodzie* Wilfrieda Ahrensa. Przedmowa do tyj publikacyji naszkryfoł 1 marca 1975 roku Franc Ludwig Graf Schuffenberg, we kerym m.in. naszkryfoł, iże, cytują: „Niymcy nie som jedynie pojyncym geograficznym. Som dziedzictwom, kerego aktywa i pasywa niy mogom łostać dowolnie zmiyniane, niy za pomocom ucieczki w zapomniynie, jak i poprzez samowolne zafalszowanie historyji!”

Dokumyntacyjo, liczonco ponad 40 tys. pozycyji, Minister Federalny Friedrich Zimmermann (CSU) udostympnił we zbiorach Archiwum Federalnego do celow naukowych i publicystycznych.

Wiym, że ogromno wiedza w tym tymacie znojs idzie we np.: Ksiyngarni Niemieckiego Wschodu we Herne, Ósrodku Badań Europy Wschodnij/Środkowij we Dortmundzie, Westfalskim Uniwersytecie Wilhelma we Munsterze i Tajnym Archiwum Państwowym-Fundacyji Pruskego Dziedzictwa Kulturowego we Berlinie.

Jes rzeczom ciekawom, abo tyż tajmnicom poliszynela, czymu ze tak wielgich zasobow niemieckich niy chcom skorzystać Polscy historycy, już niy godom ło naszych gornoślonskich czy ślonskich! Tyla, na razie, historyji ło tyj tragediji we Lublińcu i lublyniecim powiecie. Niydugo bydzie dalyj!

(Na 1-szym bilddzie Przyndzalnia z okresu miyndzywojnynego łod strony torow kolejowych (zachodnij), na 2-gim łod strony południowo-wschodnij ze roku 1912, kedy to wykopal Staw Fabryczny, a na 3-cim dzisiejszy widok zachowanyj staryj czynści spineryji.)

Naszkryfoł (napisł): Juliusz Reclik

Nie zmartwychwstaną raz przeżyte chwile

ANALIZA WIERSZA JANA NIKODEMA JARONIA (1881–1922)



Nie tylko twórczość literacka „Konrada poezji górnośląskiej” – jak Jana Nikodema Jaronia (1881–1922) nazwał wybitny badacz piśmiennictwa śląskiego Wincenty Ogrodziński (1884–1945) – była na wskroś zespolona z losem ludu śląskiego, ale także jego życie. Wszak w III Powstaniu Śląskim bił się z wrogiem w żołnierskim mundurze na froncie północnym. Piórem więc i własną pierś nastawiając walczył Jaroń o oswobodzenie Śląska z pruskiej tyranii. I w tej duchowo-cieleśnej walce, w ustawicznym prowokowaniu Boga, by wymierzył sprawiedliwość dziejową, było coś z ducha Mickiewiczowskiego Konrada. Może dlatego Ogrodziński pisał o twórczości Jaronia jako o „zjawisku przełomowym między całą twórczością literacką na Górnym Śląsku, a nieznaną nam jeszcze przyszłością tej literatury”.

Wiersze Śląska walczącego zajmują w twórczości Jana Nikodema szczególne miejsce, są bowiem zapisami największych jego emocji. Jedne z tych utworów w sposób bezpośredni przekazują postawę patriotyczną i wojowniczą Autora, drugie czynią to w sposób bardziej zawałowany, można by rzec: poetycki. Do tej drugiej grupy niewątpliwie zalicza się wiersz bez tytułu:

* * *

Nie zmartwychwstaną raz przeżyte chwile
Bo czas jest jeden, tak jak przestrzeń jedna.
Bądź trzeźwym zawsze, byś trafił do sedna
Przeznaczeń, duchu! – masz błyskawic tyle.

Świadomie twórz, co odpowiada sile!
Skup wszystek ogień! Gdy się w iskrę zjedna
Zapalisz światy. Żadna chwila biedna
Nie musi martwa zaginać w mogile.

Chwil jak błyskawice mamy miliony
I tyle niezbudzonych sił w swej duszy
A kto je zewnątrz szuka, ten stracony.

Tylko potężny duch uświadomiony
Zatrząsę światem, z podwalin go ruszy
Zdepcę swych wrogów. Rozburzy ich strony.

Napisany jedenastozgłoskowcem sonet, o układzie rymów *a,b,b,a*, nie został przez Jaronia zatytułowany, jakby Autor nie chciał narzucić czytelnikowi ukierunkowanego sposobu odbioru wiersza, jakby wierzył, że utwór bez tytułu może dać szersze pole interpretacji.

Pierwszy wers wiersza: „Nie zmartwychwstaną raz przeżyte chwile” przywodzi na myśl słynne *pantha rhei*, starożytnego greckiego filozofa Heraklita (535–475 p.n.e.), który nauczał o zmienności, przemijalności i względności wszystkiego twierdząc, że „wszystko płynie”, i „nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki”.

Drugi wers: „Bo czas jest jeden, tak jak przestrzeń jedna” wprowadza czytelnika w kategorię czasu i przestrzeni, których to definicji w historii fizyki, a zwłaszcza filozofii, było

mnóstwo. Jaroń proponuje nam jako pewnik jeden czas i jedną przestrzeń, czym nie tylko nawiązuje do nauki Immanuela Kanta (1724–1804), ale jest w tym zakresie niejako poprzednikiem Alberta Einsteina (1879–1955), który w swej słynnej teorii spłótł pole grawitacyjne, przestrzeń i czas w jedną strukturę zwaną czasoprzestrzenią.

Zakończenie pierwszego tetrastychu, ów „duch przeznaczeń”, przenosi czytelnika w świat poezji Adama Asnyka (1838–1897), a konkretnie do jego *Pieśni grobowej*.

Zachęta „świadomie twórz”, rozpoczynająca drugą strofę, a także „potężny duch uświadomiony” z pierwszego wersu ostatniej tercyny wiersza, to sięgnięcie przez poetę do dorobku filozoficznego Georga Wilhelma Friedricha Hegla (1770–1831).

Iskra do iskry, a złączonym ogniem zapalić można światy, czyli dokonać rewolucji, zmienić oblicze danej rzeczywistości. By tak się stało nie można marnować nawet chwili na beczynność („Żadna chwila biedna/ Nie musi martwa zaginać w mogile”), lecz trzeba działać z całych swych sił i z całej duszy. Bo moc jest nie w sile fizycznej, lecz w sile ducha („I tyle niezbudzonych sił w swej duszy,/ A kto je zewnątrz szuka, ten stracony”).

„Potężny duch uświadomiony/ Zatrząsę światem, z podwalin go ruszy” przywodzi na myśl słynne założenie Archimedesza (ok. 287–212 p.n.e): „Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę Ziemię”, czy też *Odę do młodości* Adama Mickiewicza: „Dalej, bryło, z posad świata! Nowymi cię pchniemy tory”.

Jaroń, podobnie jak Mickiewicz, buntował się przeciwko dotychczasowemu porządkowi świata, pragnął zjednoczyć we wspólnym działaniu pokolenie rówieśników. Tworzył więc utwory charakteryzujące się wielką ekspresją, a niekiedy nawet brutalnością oceny rzeczywistości. Mickiewicz o narodach Europy wypowiedział bardzo surowy sąd: „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy”, gdyż marzył o nowej Europie – zjednoczonej i sprawiedliwej, a przede wszystkim wolnej od feudalnego ucisku i politycznej przemocy. Nasz wieszcz narodowy wierzył w siłę poezji, pewien był, że apel skierowany do młodych w *Odzie do młodości* musi wydać owoce w postaci jednolitego współdziałania w imię wyższych celów. Podobnie wierzył, mający duszę romantyka, Jaroń. Dla pochowanego na lublinieckim cmentarzu parafialnym (Parafia św. Mikołaja) poety, owym Kantowym Geniuszem piękna był zawsze Śląsk, była zawsze Polska „demokratyczna, oparta na jednym, całym ludzie”. Jaroń pragnął, znalazłszy punkt podparcia w sile ducha Polaków „zdeptać swych wrogów/ Rozburzyć ich strony” po to, by „zbudować Polskę na szerokich barkach ludu i o filary kresów ja oprzeć/ (...) jak trwałe kolumny” (fragm. z dramatu *Wywłaszczenie*).

Edward Przebieracz
Lubliniec, 4 I 2017

Wiosna w kochcickim parku

Zbliżał się koniec kwietnia. Wiosna w kochcickim parku Wszystkimi kolorami, zapachami i dźwiękami oznajmiała, że jest najpiękniejszą porą roku. Cały park budził się do życia, słońce tańczyło wśród zielonych gałęzi drzew, a romantyczne alejki zapraszały do wiosennych spacerów.

Tego dnia pani Elżbieta z trudem podniosła się z łóżka. Zmienna, jak to na wiosnę, pogoda nie sprzyjała jej starym kościom. Ale, co tam, nie ma się co nad sobą użalać. Niestety, mogła liczyć tylko na siebie; jej dzieci powyjeżdżały w świat, jak to się mówi: za lepszym chlebem. Starły się często odwiedzać matkę, jednak przez większość roku musiała radzić sobie sama. Nie musiało tak być. Dzieci chciały zabrać ją do swych pięknych, zagranicznych domów, lecz ona tylko smutno się uśmiechała i mówiła, że starych drzew się nie przesadza. Tu była jej mała ojczyzna, tu przeżyła szczęśliwie ze swoim ukochanym mężem prawie 50 lat, a teraz, kiedy tylko może zachodzi na mały cmentarz, aby go odwiedzić i zapalić świeczkę. Zaparzyła ulubioną, rumiankową herbatkę i usiadła w starym fotelu. Był to ulubiony fotel jej męża. Wypije herbatkę, w spokoju odmówi jak zwykle dziesiątkę różańca, a potem musi wybrać się na wieś, do sklepiku, po zakupy. Skończyły się jej najpotrzebniejsze rzeczy, a i chleb też już suchawy. Na chleb to ona nigdy nie narzekała. Uczono ją w domu, że chleb trzeba szanować. Założyła niebieski kostium i ulubioną chustkę, podarunek od męża; bardzo ją lubiła. Wyjrzała przez okno. Z sieni wychodziło właśnie dwoje ludzi, to jej nowi sąsiedzi. Pani doktor z mężem niedawno wprowadzili się naprzeciwko niej. Mają też nastoletniego syna Marka. Widać, że zamożni, eleganccy ludzie i synowi ich też niczego nie brakuje. Owszem, miły chłopak, gdy ją mijają to pozdrowi, ale tylko tyle.

Staruszka niespiesznie szła dróżką kochcickiego parku, bo tutaj właśnie niedaleko stawu stał niewysoki blok, w którym mieszkała. Kiedyś bardzo lubiła spacerować po parku, siadać na ławeczce przy stawie, słuchać głosów parkowych ptasich muzykantów, ale ostatnio jakby wszystko mniej ją cieszyło. Zrobiła potrzebne zakupy w wiejskim sklepiku i z lekkim przerażeniem spostrzegła, że ledwie się mieszczą w dwóch siatkach, O, Boże! Jak ja je zaniosę do domu? – pomyślała. Wzięła do rąk ciężkie siatki i wyszła powoli przed sklep. Naraz

usłyszała dźwięczny, młody głos:

– Dzień dobry, pani! Jeśli pani pozwoli, to ja zaniosę te zakupy do pani mieszkania.

Staruszka podniosła głowę i zobaczyła swojego młodego sąsiada. Jakże się uradowała.

– Bardzo mi będzie miło – odparła nieśmiało. – Chyba przeceniłam swoje siły – dodała.

– Proszę pani, to drobiazg, proszę tylko powiedzieć, co pani potrzebuje, to ja idąc ze szkoły chętnie kupię, co pani potrzeba.

Staruszka popatrzyła w mądre, dobre oczy chłopaka. A tyle się mówi, że młodzież taka dzisiaj nieczuła, nie szanująca starszych. A tu jednak, a taki dobrze wychowany. Weszli przez małą bramkę do parku. Staruszka lekko zdziwiona rozejrzała się wokoło.

Boże, jak tu pięknie. Jakoś rano tego nie zauważyłam – pomyślała. Alejka lekko wiła się wśród zielonej murawy; po jednej stronie dwa urocze stawy mieniły się kolorami błękitu i zieleni, a rosnące drzewa odbijały się w lustrze wody. Zobaczyła też pływające stadko uroczych, dzikich kaczek. Na parkowej łączce z lewej strony alejki, fioletem kwitły leśne fiołki wśród zielonego dywanu wiosennej trawy. Drzewa pachniały młodymi listkami, a rosnące nieopodal krzewy różaneczników i azalii już zawiązywały pierwsze pąki. Do jej uszu dotarły też wiosenne ptasie trele. Jak ja mogłam tego wcześniej nie zauważyć, nie czuć, że przyszła wiosna?

– Proszę pani, czy pani dobrze się czuje? Pani nic nie mówi – odezwał się chłopak.

– Bardzo dobrze się czuję, moje dziecko – odparła.

I to była prawda. Bo i w jej sercu nastąpiła wiosna, która rozkwitła i obudziła się w niej wtedy, gdy spotkała kogoś takiego jak ten młody chłopak – dobry, uczynny i z sercem po właściwej stronie. Staruszka szeroko uśmiechnęła się do swojego młodego sąsiada, dziękując mu serdecznie za pomoc. Już w swoim mieszkaniu podeszła do okna i jeszcze raz spojrzała na swój ukochany park. Uśmiechnęła się, jakby jej lat ubyło. Znowu była młodą dziewczyną spacerującą cudowną, wiosenną porą po pięknym kochcickim parku.

Luty 2017 r.

Maria Dziuk – Kochanowice k. Lublińca

Glinicka refleksja

Szedł drogą między polami przykrytymi jeszcze gdzieś niedziele płachtami zmrożonego wieczornymi chłodami śniegu. Z każdym kolejnym dniem coraz odważniej przygrzewało słońce, a w powietrzu rozchodził się radostny zapach wiosny.

Gwizdnął, przywołując psa buszującego w bruzdach zaranej, nie obsianej jeszcze ziemi. Szedł powoli lekko opadającą ku Glinicy drogą, która od paru już lat stała się jego miejscem na ziemi. Ziemi, która przyjęła go ostrożnymi spojrzeniami mieszkańców. Z czasem zastąpiły je życzliwe, ciepłe uśmiechy spotykanych ludzi. W rześkim, wiosennym powietrzu rozchodził się głos dzwonu pobliskiego lubeckiego sanktuarium. Zdarzało mu się, ot tak, bez żadnej okazji wpadać w „odwiedziny” do Lubeckiej Pannienki. Pies warknął i ruszył w pogoń za umykającym stadem saren, które swoim żwawym biegiem zdawały się

dziękować Stwórcy za nadchodzącą wiosnę. I on oddychał coraz pełniejszą piersią wilgotną, niosącą energię atmosferą. Po drugiej stronie udało mu się wypatrzeć skradającego się wzdłuż miedzy, oddzielającej sąsiadujące ze sobą pola, lisa. Kiedy tu zamieszkał zaskoczyło go bogactwo żyjących w okolicy zwierząt. Spojrzał w błękit nieba poszukując tutejszego króla przestworzy – jastrzębia. Po chwili dostrzegł jego ledwie widoczną charakterystyczną sylwetkę na tle jaśniejącego słońca; patrolował swoje królestwo. Zawsze zachwycał się dumnym, pełnym szlacheckiej dostojności lotem tego ptaka.

Dopiero chodząc po przyglinickich polnych drogach dostrzegł mądrość i bogactwo stworzenia. Właśnie tu wśród pól i mieszkających na nich zwierzętach naprawdę poczuł, że jest nieodłączną częścią tego stworzenia.

Ireneusz Gimiński – Glinica

Wiosna w Lublińcu

Świeżo usypane kretowiska na osiedlowym trawniku, to znak na to, że do naszej niedużej miejscowości wkrótce zawita wiosna. Zwłaszcza Lubliniec jest niezwykle urokliwym miejscem o tej porze roku. Jako jedno z nielicznych miast posiada mnóstwo skwerków i rosnących wszędzie wokół drzew, które na wiosnę przyoblekają się w szmaragdy żywej zieleni i mienią się w promieniach słońca.

Choć Zawiadukcie (lubliniecka dzielnica ZWDK) po ostatnich roztopach wydaje się martwe, to wystarczy zagłębić się w osiedlowe podwórka pomiędzy betonowe kłocę, by się przekonać, że powoli i tam rozlewa się zielona fala przyozdobiona w stokrotki i mlecze. Z prawdziwą radością obserwuję jak bzyzące, zaspane życie budzi się z zimowego letargu wraz z wybuchem wszystkich kolorów tęczy, malujących się na delikatnych kwiatowych płatkach. Szczególnie czekam na motyle, a zwłaszcza na żółtego cytrynka, gdyż ta niepozorna eteryczna istotka posiada wielką moc. Mój świętej pamięci dziadek zawsze mi powtarzał, że jeśli jako pierwszego motyla ujrzę żółtego – wtedy będę miała radosne lato, lecz jeśli zobaczę brązowego lub ciemnego – to lato w tym roku będzie smutne. Dlatego zawsze mam oczy szeroko otwarte, bo ta prawda wielokrotnie się sprawdzała.

Z balkonu mam widok na dorodne topole, wysoką i smukłą brzozę oraz trzy akacje, a pomiędzy nimi znajduje się dzika grusza. Kiedy w końcu przychodzą ciepłe dni, a ich zielen eksploduje, lubię obserwować jak młode listki rozrastają się na gałęziach i powoli odzyskują uśpione życie porzucone na jesień. Zanim się spostrzegę już po tygodniu nie widzę oddalonych torów kolejowych. Zwłaszcza woń kwitnących akacji rozchodząca się po całym osiedlu w pogodne wieczory jest zniewalająca. Otwieram wtedy okno i zaczynam wsłuchiwać się w szum wiatru poruszającego witekami brzozy lub delikatny stukot pierwszego wiosennego deszczu, aby doświadczyć tych czarodziejskich tonów natury. W ten sposób wiosna niejednokrotnie przypomina mi, dlaczego uwielbiam zielony kolor, który dla mnie symbolizuje nowe, odradzające się życie.

Jednak jest taki jeden moment, na który czekam z niecierpliwością. Wokół wiaduktu na dzikich nieużytkach rosną krzaki lilaków i bzów – moich ulubionych kwiatów. W ciepłe, pogodne wieczory, gdy wiatr wieje od południa a ich kwiaty w końcu zakwitną, w pobliżu wiaduktu roznosi się tajemniczy, słodki zapach, który zachęca mnie do spacerów.

Agnieszka Maciów – Lubliniec; foto: Grażyna Pastuszka



Ziemia lubliniecka i „Ziemia Lubliniecka”

Trudno czasem jest odróżnić Rzecz, która ma dwa znaczenia. Tak jest z ziemią lubliniecką. Bo jest ziemia i jest „Ziemia”.

Ziemia znaczy grunt, łan, pole
Gdzie uprawia się hmm... pszenicę.
Ziemia to też okręg, region
Czyli miasta, okolice.

Jest też „Ziemia Lubliniecka”
Magazyn społeczno-kulturalny.
To gazeta powiatowa
Czyli periodyk lokalny.

Otóż ziemię lubliniecką
Sławi „Ziemia Lubliniecka”
Pisana wielką literą.
To proste. Nawet dla dziecka.

Swojska, polska, jakże śląska
Nie węgierska, nie niemiecka
Kwitnie w ziemi lublinieckiej
Właśnie „Ziemia lubliniecka”.

Barbara Purgał Kutno

Powiedzenie o Lublińcu

Na stronie internetowej Urzędu Miejskiego w Dobrodzieniu, w artykule autorstwa Pawła Mrozka pt. *Historia Dobrodzienia*:

http://cms.netkoncept.com/php/strona.php3?cms=cms_dobro&lad=a&id_dzi=61&id_dok=74&id_men=148&powrot=1&slowo_szuk=&gdzie_szuk=&id_men_szuk=0

przeczytamy m.in., że:

(...) W rękach książąt brunszwickich: Fryderyka Augusta księcia Brunszwiku-Lüneburga (1789–1805), Wilhelma Fryderyka księcia Brunszwiku-Lüneburga Oleśnicy (1805–1815) oraz książąt Brunszwiku-Oleśnicy będących pod opieką Jerzego IV – króla Wielkiej Brytanii i Hanoweru (1815–1823), Dobrodzień pozostawał do 1884 roku. W tym czasie dobrobyt obywateli Dobrodzienia znacznie wzrósł. W drugiej połowie XVIII wieku wybudowano, bowiem na miejscu dzisiejszego parku jordanowskiego zakład hutniczy z wielkim piecem pracującym w oparciu o rudę darniową. Niektórzy mieszczenie posiadali po 15–20 par koni, którymi transportowano wyroby hutnicze do Odessy, Wrocławia, Brna, Poznania i Krakowa. Z tego też okresu pochodzi powiedzenie „w Oleśnie pycha, w Lublińcu błoto, a w Dobrodzieniu złoto”. Wówczas Dobrodzień ilością mieszkańców i poziomem życia wyprzedził wiele górnośląskich miast. Rynek i ulice były już wyłożone kamieniami okrągłakami.

Dawne błoto lublinieckie było znane nie tylko w Dobrodzieniu. Słynny poeta niemiecki Johann Wolfgang von Goethe (1749–1832), we wrześniu 1790 r., towarzysząc księciu Karolowi Augustowi, odbył ośmiodniową podróż do Polski. Odwiedził Tarnowskie Góry, Kraków, Wieliczkę, Częstochowę i Wrocław. Z jego listów wynika, że z pobytu w naszym kraju nie był zadowolony. Autor *Fausta* i *Cierpień młodego Wertera* szerokim łukiem ominął Lubliniec z powodu właśnie wszechobecnego w nim wtedy błota.

Edward Przebieracz

Aromaty Górnego Śląska (II)

JAK STARZIK MAJSTROWOŁ

Pierona ni! A dyć żech mu padoł, co ni mo sie styrkać ku unemu. Jak sie tymu nie rozumiesz, to sie ku tymu nie styrkej. To ułpa klon, a gryz druty co we maszyncie łot kawy sie wyłunaczyły. To mały synek Kostek kciół muter pumuc i nasztelować ta kawowo zwyrta. Tela ino, ze łuna go nie kcióła słuhać i dopieroski zaczyna brzynczeć, a mielić nie mieliła. Kani fater psziszoł ze szychty do dom muti Lojska padała. Synek kciół mi ta kawiarka wyszykować. Unaczył, unaczył a dyć łona dali sie nie zwyrto. Łobejrzij to potym. Nojprzód pojdyz. Tu mosz wodzionka, a potym bydies mió krepie. Antoni zjot łobiot i wzien sie za ta naprawa. Najprzót wyciag szuflada ze starygo biyfija, co go tszimoł we szopie. Wycionk ś niej klyszcze, łopcyni, piyłka i te druciska. Ino

łuny były we izolacyji łoplecione. Bez to nagryzoł ta izolacyjo, potym piyłkom we imadle przecinoł na taki kaski jak mu sztelowały. Robota robotom. Fater maszynka wyszykował. Potym psziwoł Kustka i padoł łunymu tak: synku, jak sie tymu nie rozumiesz, to sie ku tymu nie styrkej. A dyć muti mi padali, co bych na to wejrzół i sprawiyl. Ha-inricha nie było doma. Ja, a wiela ty mosz lat? Na pszisze mosz muter pedzieć, co tymu nie poradzis. A jak pszidzie fater, a bydzie mió czas, to łune wyunaczy. Tak mosz pedzieć. Pomyśloł mały Kłusztancik, a mió dopieroski sześć łot. I tako źle i tako nie richtik. Jak tak, to muti bydzie zło. A jak onak, to fater mi naszwargoce.

Stanisław Zoń

SROGO ZALA U POZAMONIKA

Łod starzików szołech schutkami na dół i po prawo wielko, łuni padali srogo zala. To było pszi Rydułtowskiy. Prosto i nach links Rynek. Prosto i nach rechts Kościół – Bazylika. Tako richtik to było we środku Pszowa.

No cuz zala, to zala, a czymu u tego Pozamonika? Bo łuna była jego. To był srogi, chruby chop i pierzińsko bogaty. Jedni padali, iże jejich przodki pszibyli tu ze Czech. Insi zaś padali, iże ze Słowacyje. Tyn Pozamonik bryczkom se jeździł. Piyrsze auto we Pszowie łon mió. Synek jigo i dziołcha szkoły kuńczyli za granicom. We Wiydniu, abo we Paryżu. Tego niespomna. Szyćko, co ino srogigo było u nas, to ino u niygo w tyj srogij zali. Restauracyjo z łorkiestrom i tancingami. Pszijeżdźali cyrkuśniki rostomańte, co na scynie sie popisywali. Wesela, stypy i inksze biesiady. Tak było dugo, dugo. Cołki lata u Pozamonika dzioł sie szyćko co srogi i o nojwiększym znochnyiu.

Dyć psziszoł kuniec. Psziszoło nowe. Błyskało, strzylało,

dziwowało. Gorole padali na to EFKYTA PIROTYCHNIKI. I stoło sie. Zakurziło sie i to pieruńsko. Chyciły sie najprzót zasłony, kotary. Richtik szyćkie szmaty. Łot tygo cołko rysyta. Ludziska uciykali kaj szło i jak szło. Jedyn po drugim. Słabsi padali. Panika była pierzińsko. Wiela ranionych trefiło ku naszym lazaretom. Nie poradziły straże ze Pszowa, Krzyszkowic, Rydułtów, ani ta srogo ze Rybnika. Piynć ludzisków zadyptanych na amyn. Buło pogotowie. Udziylali pumocy. Zala cołko do rymontu. Jednak Pozamonik mió tysz inksze giszefy. Jymu to niy rychtowało. Padoł, lepiy nowe poszykować jak ta ruina sprawioć.

Dopieroski po drugi wojnie państwo przejyło ta rudera i bałplac na kierym stoła. I genał nowo na onym miyjscu postawili. RESTAURACYJO, KAWIARNIO, cołki CYNTRUM KULTURY we Pszowie. I je do dzisio. O Pozamoniku łostała ino łeynda. Ze Pszowa wyjechoł. Padali, że do Nymiec.

Stanisław Zoń

10 lat spotkań Kręgu Przyjaciół Zapomnianej Historii

6 marca 2007 roku w 50. rocznicę śmierci Ludwika Karola Ballestrema po Mszy św. odprawionej w jego intencji grupa entuzjastów historii spotkała się w Kochcicach by wspominać dobrego hrabiego. Wydarzenie to pokazało, że jest zapotrzebowanie na wspólne odkurzanie zapomnianych, mało znanych faktów naszej lokalnej historii.

Odnalezienie w archiwach Archidiecezji Katowickiej faktycznej daty poświęcenia leśnej kaplicy pw. św. Huberta z Brzozy w 75. rocznicę tego wydarzenia było okazją do kolejnego spotkania – już w szerszym gronie pasjonatów historii.

W marcu 2011 roku władze gminy Kochanowice wraz z dyrekcją Gminnego Centrum Kultury i Informacji zaprosiły w swoje gościnne progi ludzi zainteresowanych historią pocztówki na Śląsku, o której opowiedział nam Piotr Kalinowski z Kalet. Wzięło w nim udział 18 osób z całego powiatu lublinieckiego. Wtedy też postanowiono by spotykać się cyklicznie, jako kółko historyczne działające przy kochanowickim domu kultury.

Po trzech miesiącach zostaliśmy zaproszeni przez konserwatorów pracujących przy świeżo odkrytych, gotyckich freskach w lubeckim sanktuarium i tym sposobem mogliśmy z bliska zobaczyć to sensacyjne, niedostępne jeszcze dla wszystkich malowidła. Tym razem był nas już dwukrotnie więcej.

We wrześniu ponownie zagościliśmy w siedzibie GCKiI w Kochanowicach na spotkaniu zapowiadającym nową książkę Józefa Tyrola „Dawno temu w lesie”. Mogliśmy wtedy zobaczyć scenki rodzajowe z wiejskiego życia zaprezentowane przez gimnazjalistów pod opieką nauczyciela historii Mariusza Żymierskiego. Kochanowicka młodzież wielokrotnie jeszcze przygotowywała dla nas ciekawe, przedstawione z pasją i humorem inscenizacje historyczne.

W grudniu 2011 roku po raz drugi zawitaliśmy w Lubeku by naocznie przekonać się o postępach prac przy freskach, zapoznać się z techniką konserwatorską i nawiązać

Marzena Koza • CD. NA STR. 22

10 LAT CD.

trwała znajomość z ekipą pod kierownictwem pana Tomasza Trzosa.

Widząc rosnące zainteresowanie spotkaniami w 2012 roku zwiększyliśmy ich częstotliwość do cyklu comiesięcznego. Wtedy też przyjęliśmy oficjalną nazwę: Krąg Przyjaciół Zapomnianej Historii.

W poszukiwaniu ciekawych tematów i miejsc dotarliśmy do kochcickiego pałacu, lisowickiego Muzeum Paleontologicznego, do domu Francki w Kanusie, do Sadowa i Dronowic. Byliśmy też z Marianem Berbeszem w lublinieckiej izbie pamięci 74 GPP.

W Lubecku spotkaliśmy się też z ks. prof. Józefem Bremerem, który wraz z Małgorzatą i Piotrem Grabolus oraz członkami Stowarzyszenia Przyjaciół Drog Świętego Jakuba w Polsce opowiedział nam o pielgrzymich szlakach do Santiago de Compostela.

Nawiązując nowe znajomości w Kochanowicach gościliśmy grupę Regionalnego Ogniska Historycznego z Krupskiego Młyna, która przedstawiła nam zrobiony przez siebie świetny film rekonstrukcyjny „Ostatni lot Bestii”, opowiadający o wydarzeniach z 1944 roku. Z kolei Józef Kulisz ze Strzebinia opowiadał nam o śląskim alfabecie i piastowaniu śląskiej godki.

Aktywniejszą formą spotkań okazał się rajd rowerowy na Śródlesie zakończony ogniskiem.

W roku 2013 wykroczyliśmy poza granice powiatu lublinieckiego odwiedzając wycieczką „szlakiem Ballestremów” Rudę Śląską, Pławniowice i Taciszów. Zostaliśmy również zaproszeni przez Muzeum Oleskie na zwiedzanie kościoła św. Anny i prelekcję w ramach „oleskich czwartków historycznych”.

Tego roku byliśmy również w Zborowskim-fajczarnia i Herbach-muzeum kolejowe. Przy okazji poznawaliśmy historię kościołów w tych miejscowościach, a ich gospodarze odprawiali Mszę św. w naszej intencji.

Od wykładu dr. Arkadiusza Barona o prudnickich (i nie tylko) Żydach, dzięki przychylności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lublińcu, sala przy Muzeum Edyty Stain stała się częstym i miłym miejscem naszych spotkań.

Wielkim zainteresowaniem cieszył się wykład dr. Arkadiusza Kuzio-Podruckiego na temat rodziny von Aulock. Trwałą pamiątką tego wydarzenia jest herb rodziny wykonany na dębowej desce i zawieszony na murze kaplicy cmentarnej w Kochanowicach.

W 2013 roku przypadła 80. rocznica poświęcenia leśnej kaplicy Ballestrema, co stało się inspiracją do zorganizowania rajdu rowerowego i spotkania. Niestety, niekorzystna pogoda uniemożliwiła odprawienie Mszy św. w miejscu jej pierwotnej lokalizacji na Śródlesiu, w związku z tym uroczystości zostały przeniesione na Pawełki. Awaryjnie skorzystaliśmy z namiotów rozstawionych przy schronisku na wielki zjazd rodzinny Brzezinów.

Tego roku zajmowaliśmy się Lublińcem na starej fotografii o czym opowiedział nam wybitny znawca historii miasta pan Kazimierz Bromer, kolejnym etapem renowacji lubeckich fresków, dawnymi obyczajami, prawem i życiem parafii oraz walorami przyrodniczymi ziemi lublinieckiej.

W maju 2013 roku wspólnie z Marielisz von Spee (z domu Ballestrem), która z dziećmi i wnukami odbywała kilkudniową, sentymentalną wycieczkę do krainy swojego dzieciństwa z okazji swoich 80. urodzin zwiedziliśmy kochcicki pałac, uroczysko Brzoza wraz ze stanowiskiem rododendronów oraz leśną kaplicę Ballestrema na Pawełkach.

2014 rok rozpoczęliśmy w Lubecku Mszą św. w intencji zmarłego Gerarda Burka uświetnioną występem Chóru Stowarzyszenia Przyjaciół Lublinieckiej Fary z Lublińca. Potem

zwiedziliśmy nieistniejący już dziś klasztor sióstr Służebniczek.

Tego roku czterokrotnie zajmowaliśmy się tragedią żołnierzy walczących na frontach I i II wojny światowej. Stowarzyszenie Blechhammer z Kędzierzyna przedstawiło nam epizody amerykańskich nalotów bombowych na Górny Śląsk w 1944 roku, a prof. Ryszard Kaczmarek opowiadał nam o losach Ślązaków na frontach Wielkiej Wojny.

W Jawornicy podziwialiśmy kolekcje lokalnych zbieraczy. Oprócz pocztówek, numizmatów, dzwoneczków i oznak turystycznych szczególną uwagę zwróciły zbiory egzotycznych motyli pana Andrzeja Domagały.

W Dobrotece obejrzelśmy nowoczesną, multimedialną prezentację historii Dobrodzienia. Miejscowy pasjonat historii tego miasta pan Paweł Mrozek oprowadził nas po drewnianym kościele św. Walentego oraz izbie regionalnej.

22 września w auli szkoły podstawowej w Kochcicach spotkaliśmy się z wyjątkowym gościem w osobie hrabiego Mikolaja Ballestrema, który na nasze osobiste zaproszenie przyjechał z Berlina. Spotkanie uświetnił występ szkolnej scholi prowadzonej przez Katarzynę Kawkę.

Pozostając w temacie rodziny von Ballestrem w 105 rocznicę poświęcenia kaplicy pałacowej ksiądz proboszcz odprawił Mszę św. po której przy ciastku i kawie świętowaliśmy odpust ku czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny.

Tego roku ruszyliśmy „śladami Donnersmarcków” do Brynka i Nakła Śląskiego. Pan Waldemar Sykosz zaprosił nas do zwiedzenia schronu bojowy Regelbau w Zbrośławicach.

Na zakończenie wakacji odbył się rajd rowerowy z Kochanowic do Koszęcina. Było ognisko i zwiedzanie rezerwatu Jeleniak-Mikuliny z leśnikiem Czesławem Tyrolem. Z kolei pan Michał Mazur oprowadził nas po dotychczas niedostępnych zakamarkach zespołu pałacowo-parkowego w Koszęcinie.

W roku 2015 razem z Andrzejem Musiołem zajmowaliśmy się historią prasy na ziemi lublinieckiej, zaś przybyłe z Warszawy rodzeństwo Moczulskich opowiedziało nam o Babach i kobietach w życiu noblisty-kolejarza Władysława Reymonta.

W bardzo odległe zakamarki prehistorii zabrała nas profesor Joachim Szulc. Również w Lubecku ks. Marcin Wojtczak z Piotrem Grabolusem przybliżyli nam sylwetki miejscowych duchownych.

Dużej kondycji fizycznej wymagał niedzielny spacer brzegiem Małej Panwi, na który zaprosił nas niezawodny Czesław Tyrol.

W Zawadzkiem zwiedziliśmy izbę regionalną i upiekliśmy chleb na ognisko, które odbyło się obok izby geologicznej w Kielczy. Zwiedzanie izby było kontynuacją spotkania z prof. Szulcem.

Lato zakończyliśmy tradycyjnie rajdem rowerowym śladami granic i dawnego hutnictwa w gminie Ciasna. Nie ominęliśmy cmentarza ewangelickiego w Molnej. Wspólnie z MBP w Lublińcu sprowadziliśmy ze Sławęcic wystawę „Ślascy Teksańczycy” obrazującą historię XIX-wiecznej emigracji z Górnego Śląska do USA i założenia osady Panna Maria.

1 października zwiedziliśmy najwspanialszy, dotychczas niedostępny, zabytek techniki naszej gminy jakim jest kochcicka gorzelnia hrabiego Ballestrema z 1905 roku. Zachowały się tam częściowo oryginalne urządzenia z początku XX wieku, m.in. maszyna parowa firmy Wagener z Kostrzyna nad Odrą.

5 października świętowaliśmy 140. rocznicę urodzin Ludwika Karola Ballestrema. Kochanowiccy gimnazjaliści brawurowo zaprezentowali scenki z życia hrabiego wplatając film, nakręcony przed laty przez grupę historyczną poprzednich roczników tej szkoły.

Nowo wytyczonym szlakiem świętego Jakuba w towarzystwie współtwórcy ks. Józefa Bremera najbardziej zapaleni

Marzena Koza • CD. NA STR. 23

10 LAT CD.

uczestnicy naszych spotkań dotarli na rowerach do Jemielnicy, gdzie zwiedzaliśmy pocysterskie opactwo. W odrestaurowanym spichlerzu przy ufundowanym przez wójta Marcina Wycisło kołoczu poznaliśmy historię tej pięknej miejscowości.

Rok zakończyliśmy przy rybce słuchając gawędy...o rybce w schronisku na Pawłkach.

Rok 2016 rozpoczęliśmy... pożegnaniem, czyli kolejną prelekcją dotyczącą tego nieodłącznego elementu naszego życia w przemysłeniach Majki Balickiej i Marka Moczulskiego, którzy co roku przyjeżdżają do nas w rocznicę śmierci Henryka Dąbrowskiego-twórcy izby kolejowej w Herbach Nowych.



Autor zdjęcia – Leon Tobor

Zwolennicy wycieczek kolejny raz mieli okazję połączyć swoją turystyczną pasję z odkrywaniem zapomnianej historii na górze Grojec i w cegielni Patoka.

W muzeum Pro Memoria mogliśmy poznać dzieje Lublińca z przełomu XIX i XX wieku, gdy burmistrzem miasta był Theodor Knappik.

Adwentowe spotkanie na temat życia nadrzecznego w dolinie Małej Panwi i Liswarty to ciekawa prelekcja Józefa Tyrola z Nakła Śląskiego. Nie zabrakło wspólnego śpiewu przy akompaniamencie naszego „etatowego” organisty Kazimierza Malchra.

Rok 2017 tradycyjnie już witaliśmy z warszawskimi przyjaciółmi, którzy zaprezentowali nam wybranych artystów w autobiografiach literackich i autoportretach malarskich.

23 lutego wójt kochanowickiej gminy zaprosił nas do GCKiI na wystawę Silesius, o której opowiedział nam jej pomysłodawca

europoseł Marek Plura.

W dziesiątą rocznicę naszego pierwszego spotkania, która była zarazem 60. rocznicą śmierci hrabiego Ballestrema i 60. spotkaniem Kręgu Przyjaciół Zapomnianej Historii po Mszy św. na Pawłkach świętowaliśmy nasz jubileusz przy wspólnym torcie ufundowanym przez Gminne Centrum Kultury i Informacji w Kochanowicach. Była to też okazja do podsumowań i statystyk. Przez opisane tu wydarzenia przewinęło się 2234 osób, co daje średnio 37 uczestników na spotkaniu!

Mamy nadzieję, że bogactwo historii naszej małej ojczyzny da nam wiele tematów do kolejnych, ciekawych spotkań, a niniejszy artykuł zachęci nowych uczestników oraz chętnych by publicznie podzielić się z nami swoją wiedzą i pasją.

Informacje o kolejnych spotkaniach można znaleźć na facebookowym fanpagu: Przyjaciele Zapomnianej Historii.

Marzena Koza

ŚLADAMI HISTORII

Dwory i pałace Ziemi Lublinieckiej

W wydaniu nr 3/2016 prezentując pałace w Kochanowicach i Kochcicach nie zamieściliśmy ważnych elementów szaty graficznej do artykułu co niniejszym czynimy.



Herb Budwicz rodu von Blacha



Herb hrabiów von Ballestrem di Castellengo



Herb rodu von Aulock

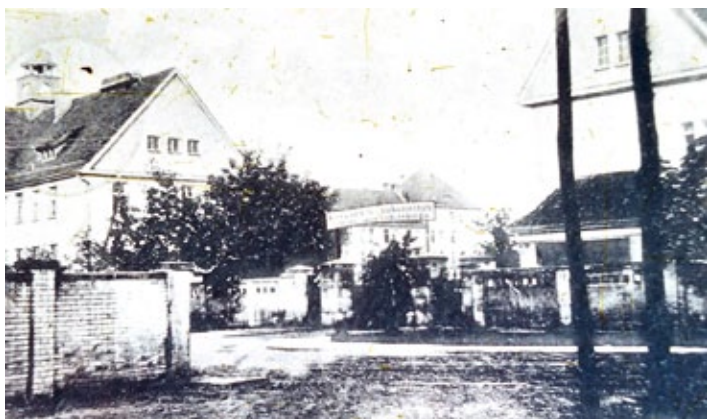
Lubliniec wczoraj i dziś



Obecny Klasztor Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej oraz kościół pw. św. Stanisława Kostki powstały w oparciu o budynek Zakładu Wychowawczego ufundowanego dla sierot przez Franciszka Grotowskiego. Gmach ten w 1922 roku zakupiło Zgromadzenie Misjonarzy Oblatów, które utworzyło tam Niższe Seminarium Duchowne. Przy utworzeniu tej placówki główną rolę odegrał o. Jan Kulawy, pracujący wcześniej wśród polonii kanadyjskiej. Po powrocie z misji zorganizował on dom oblacki w Krotoszynie, którego budynek okazał się zbyt mały wobec rosnącej liczby powołań. Dzięki jego staraniom oblaska Rada Generalna w Rzymie wyraziła w 1921 roku zgodę na otwarcie klasztoru oraz założenie nowego seminarium



w Lublińcu. W latach 1922–1925 o. Jan Kulawy był superiorzem klasztornym. Nowootwarty zakład także okazał się zbyt mały. Z tego powodu zdecydowano się na dobudowanie dwóch skrzydeł do istniejącego budynku. W 1928 roku oddano do użytku skrzydło zachodnie, a w 1930 roku skrzydło wschodnie. W tym ostatnim umiejscowiono kościół pw. św. Stanisława Kostki, będący również kaplicą seminarijną. W 1941 roku uzyskał on status kościoła parafialnego. Po zakończeniu wojny wznowiło działalność Małe Seminarium Duchowne, którego prace przerwała konfiskata większej części budynku przez ówczesne władze w 1952 roku. Zwrot nieruchomości prawowitym właścicielom nastąpił w 1998 roku.



Znajdujące się w Lublińcu koszary zostały zbudowane w latach 1914–1915. Do 1922 roku nie stacjonowała w nich większa samodzielna jednostka – były siedzibą dla niemieckich wojsk ochrony pogranicza, formacji paramilitarnych oraz niewielkich oddziałów wojsk angielskich i francuskich pilnujących spokoju na ziemi lublinieckiej w czasie przeprowadzania plebiscytu. W 1922 roku stały się siedzibą 74 Pułku Piechoty, który przybył do miasta z podpoznańskiego Biedruska. Mieszkańcy Lublińca ufundowali dla jednostki sztandar, wręczony żołnierzom przez marszałka Józefa Piłsudskiego w obecności Kazimierza Niegolewskiego – starosty lublinieckiego. Koszary w których stacjonował pułk zostały nazwane imieniem Jana III Sobieskiego. Jednostka w okresie międzywojennym brała czynny udział w życiu lublinieckiej



społeczności. Jej orkiestra towarzyszyła niemal wszystkim uroczystościom państwowym w mieście. Pułk sam organizował również imprezy dostępne dla mieszkańców: Dni Morza, zawody sportowe, akademie, pokazy sztuki żołnierskiej. Corocznie w październiku z okazji święta pułkowego na lublinieckim rynku odprawiana była msza polowa. W 1932 roku jednostka zmieniła nazwę na 74 Górnoszląski Pułk Piechoty. W 1939 roku żołnierze 74 GPP bronili ziemi lublinieckiej, zadając Niemcom ciężkie straty. Przed koszarami znajdował się pomnik poświęcony jednostce, który został niszczone w 1939 roku. Obecnie w koszarach siedzibę ma Jednostka Wojskowa Komandosów, również związana ze społecznością miasta. Na jej sztandarze znajduje się herb Lublińca, a żołnierze współpracują z lublinieckimi szkołami.

Tekst: Sebastian Ziółtek

Zdjęcia: Sylwia Mietelska, Lubliniecki Klub Fotograficzny

Zdjęcia archiwalne ze zbiorów Marka Fischera